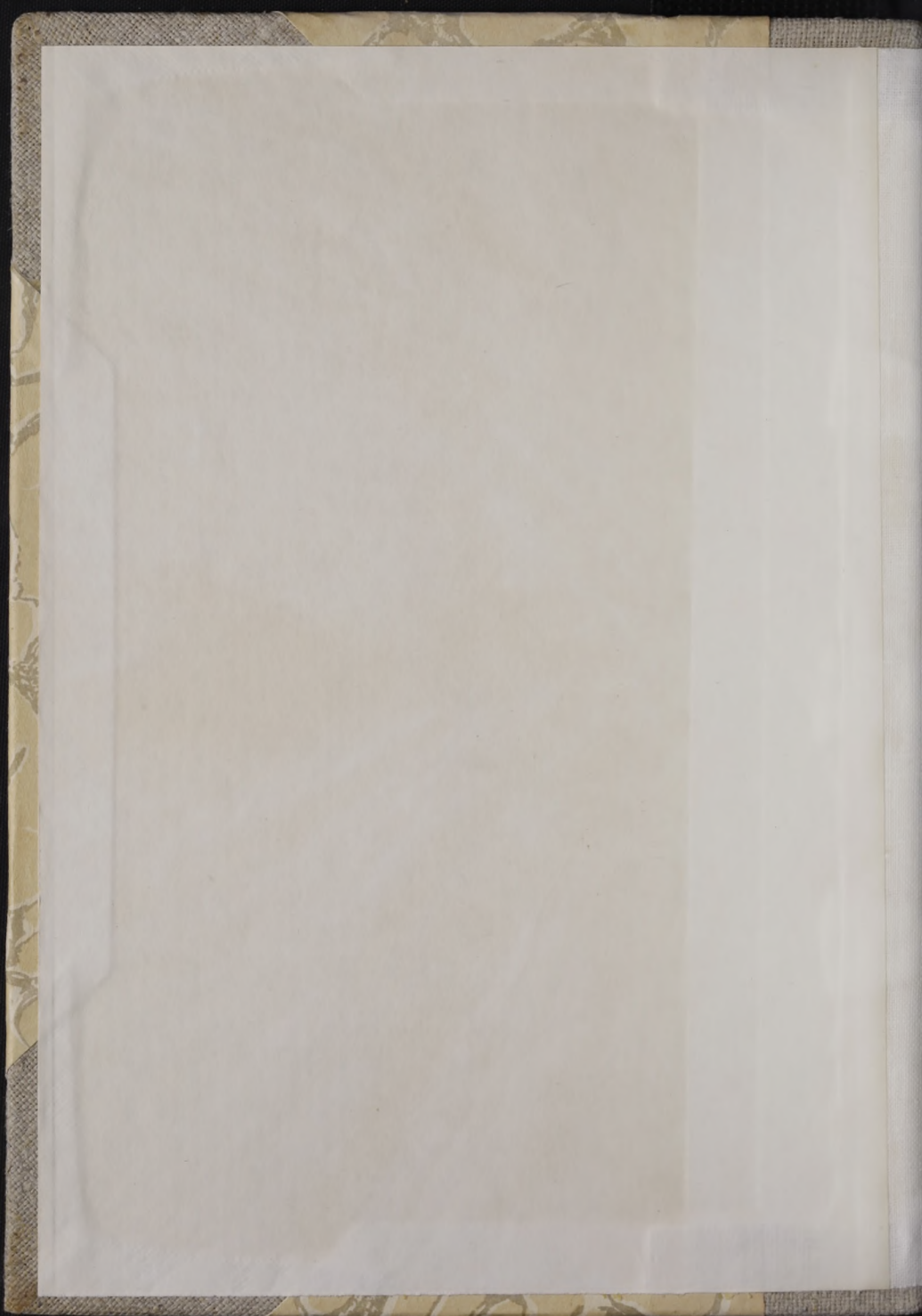
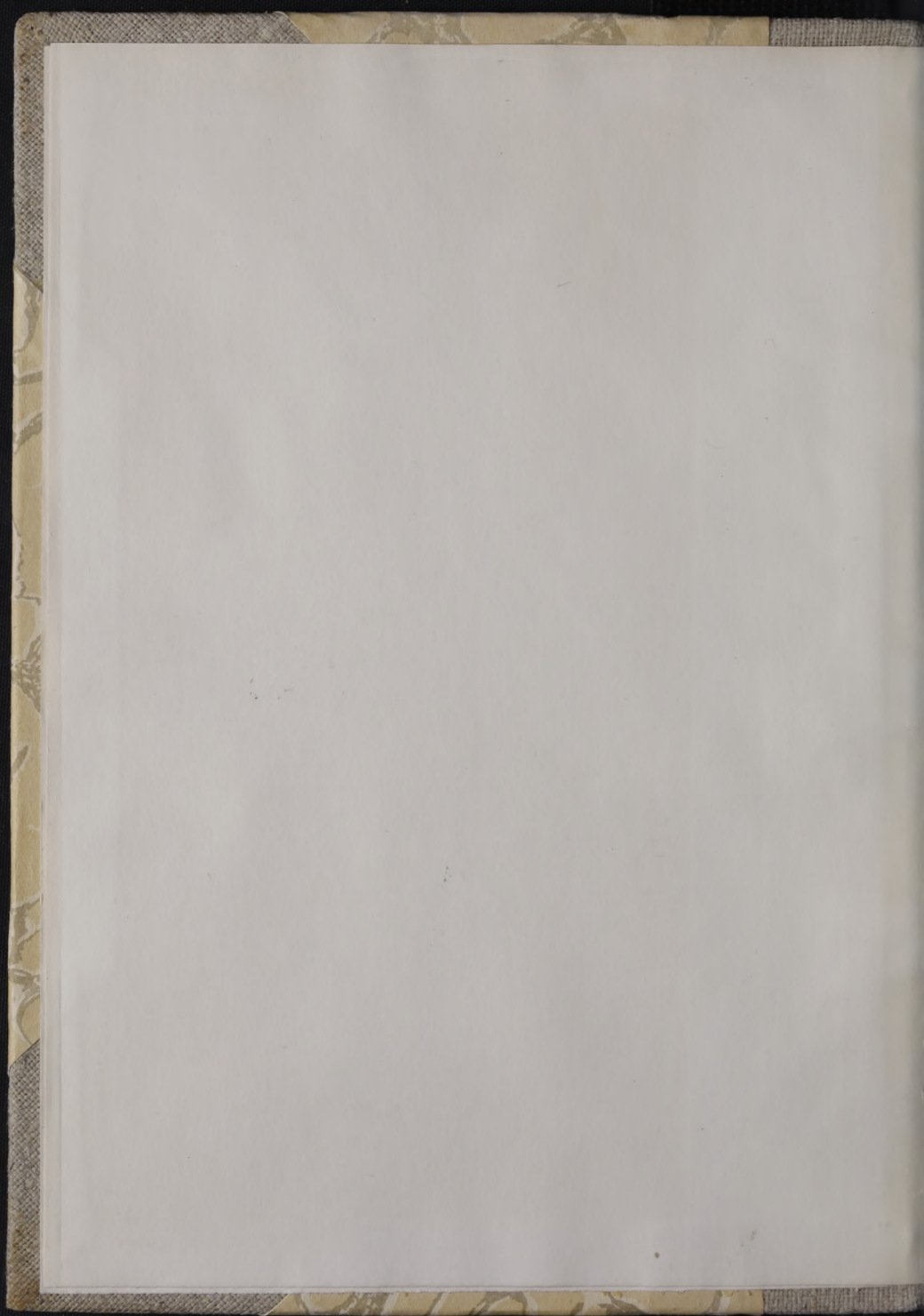


BN

BN



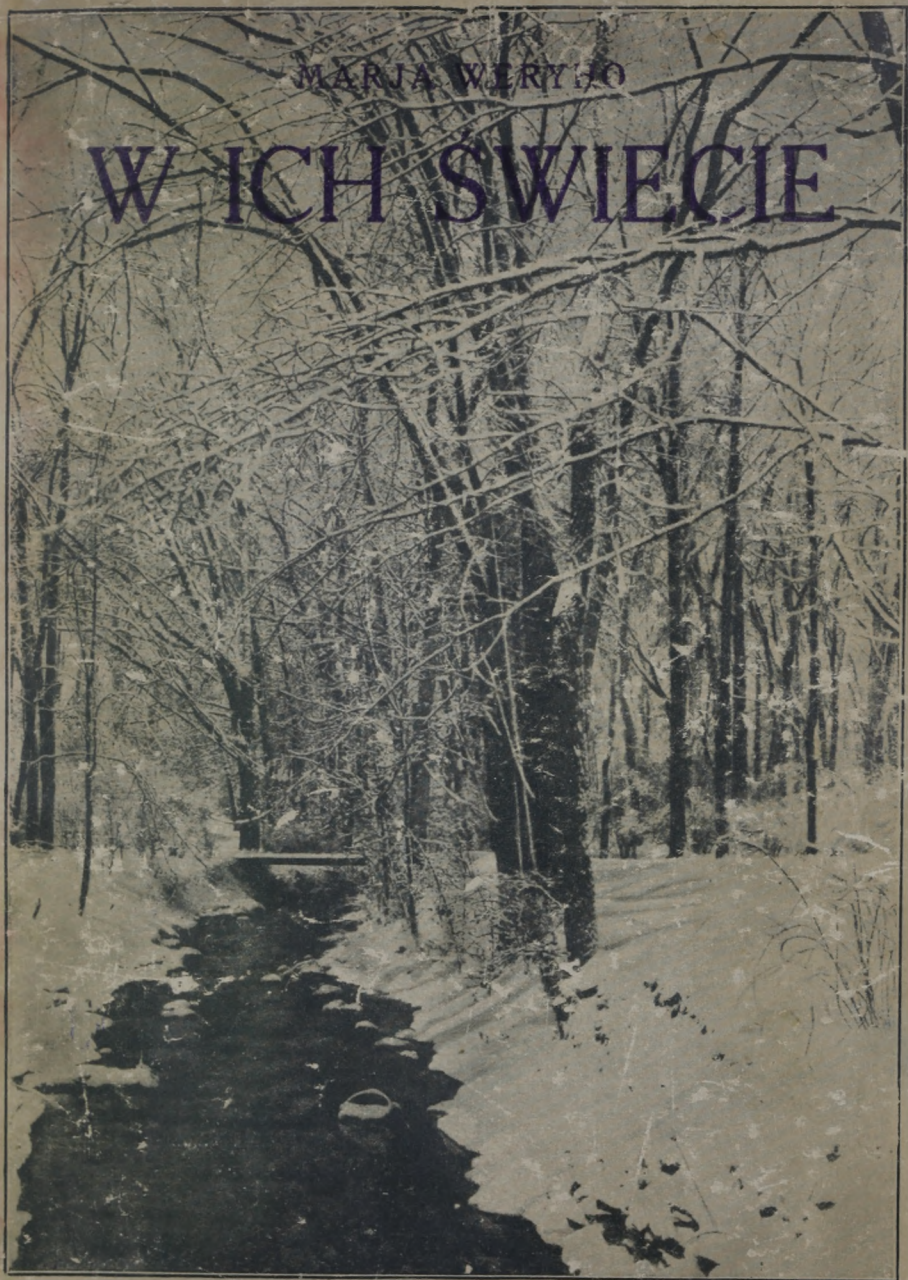




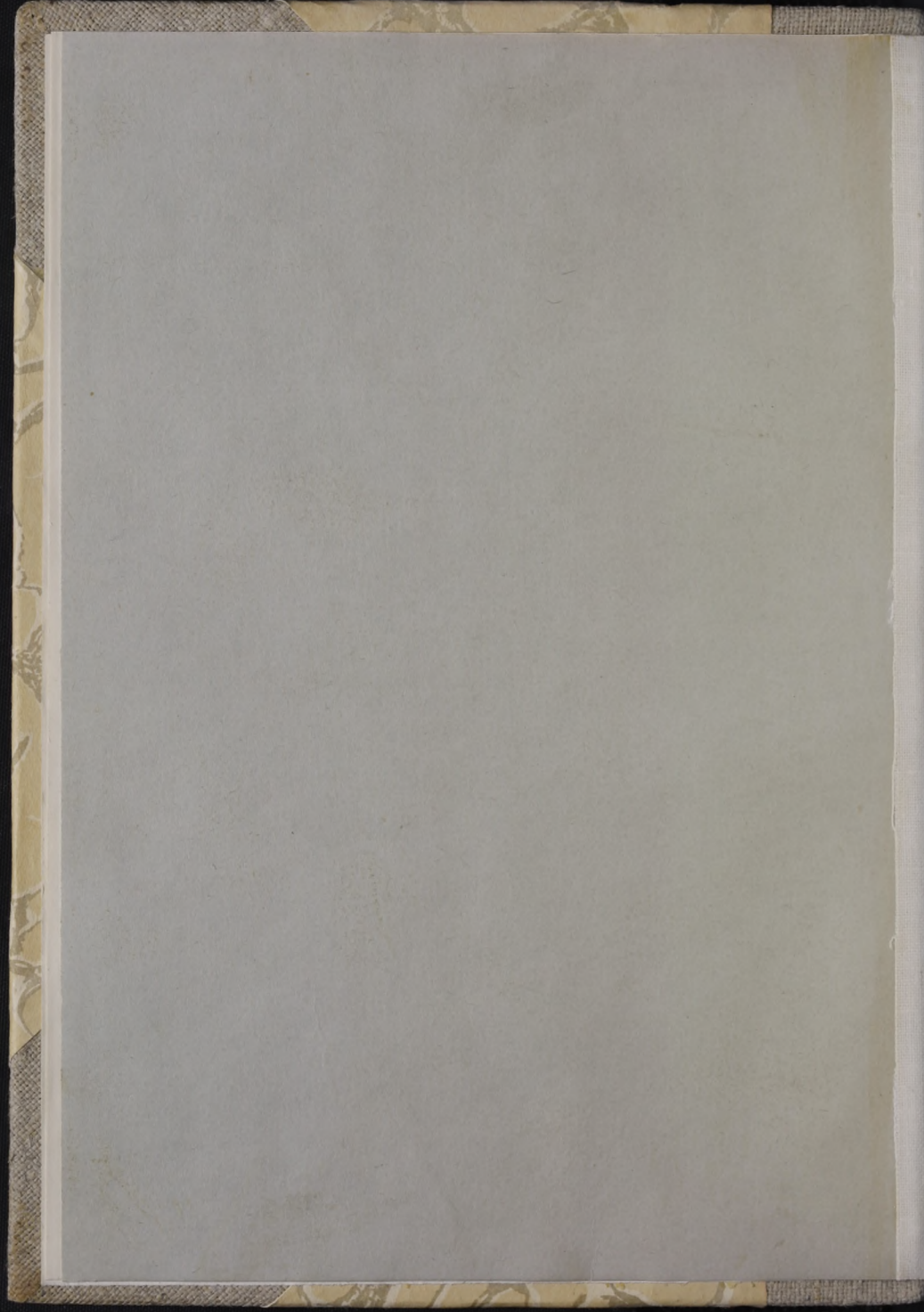
4 1. 401. 460

MARJA WERYHO

W ICH ŚWIECIE

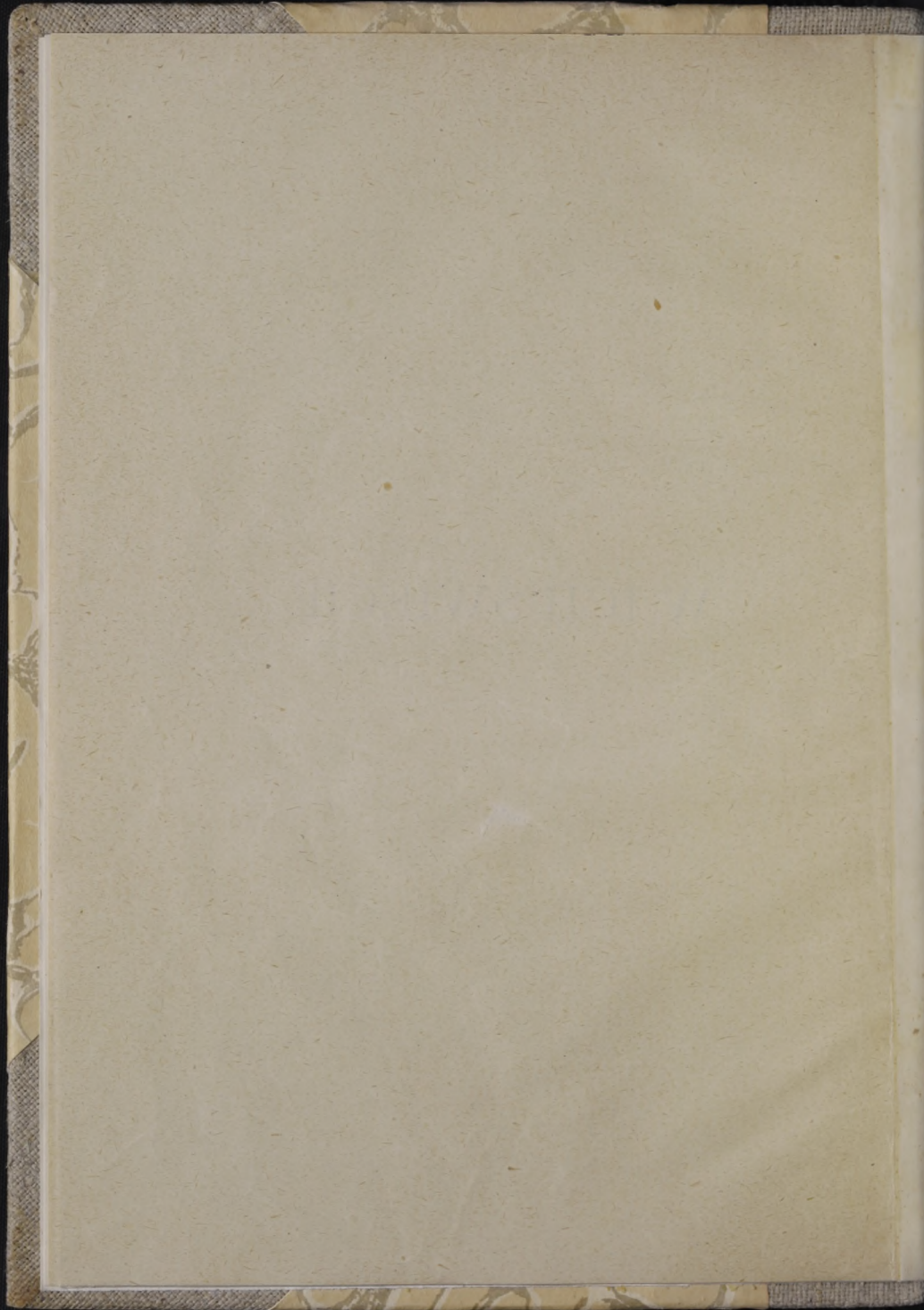


KSIĘGARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE



II 1.401.460

W ICH ŚWIECIE



MARJA WERYHO

W ICH ŚWIECIE

OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT
DLA MŁODSZYCH DZIECI

Z RYSUNKAMI KAROLA WITKOWSKIEGO

WYDANIE TRZECIE



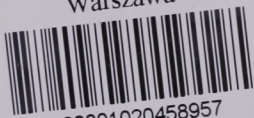
KSIĘGARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225
1 9 2 8



11 1401460

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020458957



1982 K 842/34

DWIE PRZYJACIÓŁKI

I

Bardzo się, bardzo kochały myszki: Perełka i Szarutka; razem mieszkały, razem chodziły do śpizarki, razem wkładały się do piwnicy, razem przegryzały dziury w kredensie i komodzie — słowem, nigdy się nie rozłączały.

Były młode, bojaźliwe, a w towarzystwie bywa zawsze śmieiej.

— Musimy pomyśleć o gniazdku — powiada raz myszka do swojej przyjaciółki — wkrótce dzieci na świat przyjdą, trzeba dla nich wynaleźć jakiś spokojny kątek i urządzić się w nim wygodnie.

— Nie kłopotcz się, Szarutko, mam miejsce upatrzone. Pani szewcowa schowała do szuflady dużą, miękką mufkę, będzie to doskonale miejsce na nasze gniazdko.

— Ej, Perełko, bądź ostrożniejsza z ludźmi! Wiesz przecie, jacy są dla nas nieżyczliwi. Szewcowa może zabrać mufkę, a wtedy co z dziećmi naszymi się stanie?

— Jakaś ty nierozsądna, moja przyjaciółeczko! Któż w lecie mufki używa? Do zimy zaś zdążymy dzieci wychować. Pójdziemy dziś w nocy obejrzyć miejsce, o którym mówię; sama się przekonasz, jakie jest doskonałe.

— Boję się jednak, bardzo się boję przebywać tak blisko ludzi — rzecze myszka po namyśle. — Zamieszkaj ty sobie w mufce, ja bezpieczniejszego poszukam schronienia: w piwnicy lub pod podłogą. Mam nadzieję, że nie poskąpisz mi trochę waty i puchu z twej mufki.

— I owszem... i owszem, dam, ile zechcesz! Szkoda jednak, że mi tak mało ufasz!...

Ciemno już było, gdy myszki postanowiły swe plany urzeczywistnić. Zakradły się przez dziurkę do komody, ostremi ząbkami poprzecinały w kilku miejscach mufkę i zaczęły wyciągać watę, włos i wszystko, co było w niej miękkiego.

W końcu tygodnia dwa gniazdzka były uślane: jedno pod podłogą kurytarza, a drugie w mufce.

— Jestem pewna — rzecze Perełka — że żadna myszka w tym domu nie ma tak wspaniałego posłania... Mogę sobie powinszować...

II

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Minęło kilka tygodni. Przez ten czas przyjaciółki mało ze sobą przestawały. Każda z nich miała swoje obowiązki pielęgnowania dzieci.

Sliczne to były stworzenia te młode myszki, ale niedołążne, słabe i ślepe. Trzeba je było karmić, usypiać, okrywać, ochraniać na każdym kroku.

Aż razu jednego słyszy Szarutka, że coś chrobocze. Wygląda z gniazdka, patrzy, a to Perełka zjawia się i to nie sama, tylko z dziećmi.

— Bój się Boga, przyjaciółko, jak mogłaś wychodzić w biały dzień i to z takim drobiazgiem? Jeszcze masz dzieci zupełnie nagie, pozaziębają się!...

— Musiałam, moja droga! — odrzeczemy myszka, łkając. — Och, niegodziwa szewcowa!... Wiesz, porwała z komody mufkę i z krzykiem rzuciła ją na ziemię! Ach, okropność, moje maleństwa powypadały! Jedno z nich... o, ja nieszczęśliwa! — narzekała myszka — najmłodsza córeczka!... najśliczniej-

sza!... na miejscu nieżywa została. A ja nawet nie mogłam popłakać nad nią, musiałam z resztą dzieci uciekać!

— Nie rozpaczaj, moja złota, zostań u mnie, damy sobie radę! Nie tak ci tu będzie wygodnie, ale zato bezpiecznie. Chodźcie, maleństwa, ogrzejcie się w mojem gniazdku!

O, jak drżą z zimna! Ludzie zawsze są dla nas okrutni — rzecze Szarutka, ciężko wzdychając.

Znowu myszki zamieszkały razem.

Pocziwa Szarutka tak się przejęła nieszczęściem swej przyjaciółki, że pomagała jej, w czym mogła, oddała część swego posłania, opiekowała się jej dziećmi, jak swemi, a nawet często karmiła własnem mlekiem, gdy matka długo nie wracała.

— Szarutko moja najdroższa, czemu ja ci się odwdzięczę, żeś taka dla mnie dobra? — mówiła myszka.

Perełka też była dobrem stworzeniem, ale miała swoje wady i to nie byle jakie: była lekkomyślna i bardzo łakoma. Jak tylko się dostała do szpiżarki, a znalazła słoninę, ser lub konfitury, o całym świecie zapominała.

Napróżno Szarutka ją przestrzegała, że musi być stateczniejszą, że dzieci źle odżywia, mało się niemi zajmuje. Perełka narazie przyrzekała poprawę, a nazajutrz o niej zapominała.

Pewnego razu, gdy Perełka znowu wybierała



się w podróż, Szarutka przytrzymała ją za łapkę i mówi:

— Zostań, muszę z tobą poważnie porozmawiać. Dzieci twoje mają już po dziesięć dni, a wyglądają, jakby się dziś urodziły, takie to małe i mizerne. Ja robię dla nich, co mogę, i nadal nie usuwam się od opieki. Wiedz, że wykarmić razem czternaścioro dzieci jest to nad moje siły, poprostu brak mi pokarmu... Za jakie trzy, cztery dni dzieci przejrzą, a wtedy same sobie radę dadzą, ale teraz obowiązkiem twoim jest je pielęgnować.

— Prawdę mówisz, przyjaciółko, świętą prawdę: jestem niegodziwą, wyrodną matką, niewdzięczną względem ciebie, łakomą, chciwą...

Co mówiąc, Perełka otarła łzy łapką.

— Przebacz mi, już się poprawię. Teraz stanowczo to przyrzekam. Jak cię kocham!...

Pocałowała Szarutkę w łapę i poszła upieścić dzieci.

— Moje maleństwa, moje pieszczotki, już was nigdy nie opuszczę!

III

UCZTA PEREŁKI

Szarutka była od tej chwili zachwycona swoją towarzyszka: dla dzieci stała się dobrą. Żywi je doskonale i daje im różne przestrogi.

A jaka zapobiegliwa się zrobiła! Ile razy wróci ze spiżarni, zawsze coś im przyniesie: albo sera, albo kiełbasy, albo bułki kawałeczek... Co może...

— Jedz, Szarutko — zaprasza — i dla ciebie starczy, wygłodniałaś karmiąc moją i swoją gromadę.

Szarutka chętnie wzięła kawałek skórki od szynki, oparła się na tylnych łapkach i, trzymając go w przednich, z wielkim apetytem obgryzać zaczęła.

— Dawno już nie jadłam tak smacznych rzeczy. Zjedz też sama kawałek, oddam ci połówkę...

— Nie mam czasu! Muszę porządnie poukładać orzechy i kawałki cukru, które udało mi się zabrać ze spiżarki. Będzie to dla ciebie. Spostrzegłam; że zanadto ci zęby przednie odrastają.

— Oj, co prawda, to prawda, przyjaciółko droga, ledwie pyszcek zamknąć mogę, a to dlatego, że, pilnując dzieci, nie miałam czasu poszukać sobie czegoś twardszego do jedzenia.

— Wiem, wiem! — rzecze Perełka — że o niczem nie myślisz, tylko o dzieciach. Dlatego to tak źle wyglądasz: mizerna, skóra i kości.

— Wiesz, Perełko, że nie poznaję cię, tak się zmieniłaś; zaczynasz, widzę, o innych myśleć.

Przez parę dni myszka rzeczywiście sprawiała się bez zarzutu. Ale trzeciego dnia nie wytrzymała: wyszła z domu i długo nie wracała.

Dzieci głodne czekały powrotu matki na obiad, czekały na podwieczorek, wkońcu zaczęły pisać i kręcić się koło przybranej matki.

Ta, co mogła, jeść im dała, a wtedy dopiero biedactwa usnęły.

Było już dobrze po północy, gdy Szarutka pomszyszała jakiś dziwny głos, ni to śpiew, ni przeciągły pisk.

Za chwilę spostrzegła Perełkę, która, wchodząc, zataczała się i była jakoś w dziwnie wesołym usposobieniu; przytem śpiewała i wygadywała coś bez sensu.

— Czy to mój dom?... czy nie mój?... patrzę... patrzę... A, Szarutka, jak się masz? Może potańczymy?... Nie chcesz? Nie!... to nie!... Wielkie rzeczy!... sama zatańczę... Ty stara niedołęgo!...

I zaczęła się kręcić na jednym miejscu, jak nieprzytomna.

— Perełko, co ci jest? Tyś pijana! Co za wstyd!.. Cicho bądź, dzieci obudzisz!..

— Co to dzieci?... Jakie dzieci?... Czyż nie można się pobawić? Szarutko... ty jesteś nudna!... Tybyś ciągle tylko prawiała mo... ra... ły... A ja chcę sobie tańcować!..

I myszka w szal prawdziwy wpadła: chodziła na dwóch łapkach, przewracała koziołki, uganiała się za własnym ogonem, co chwila przewracała się i znów na nowo zaczynała.

A wtem dzieci obudziły się, a że już nie były ślepe, więc patrzyły na matkę i pokładały się ze śmiechu, tak je bawiło zachowywanie się Perełki.

— Nie pozwolę, żebyś była pośmiewiskiem dzieci, żeby patrzyły na matkę pijackę! — rzekła surowo Szarutka... — Kładź się i natychmiast śpij.

— Nie pójdę... ty stara zrędo... tu sobie odpoczne!... Ach, co to był za likier?... Jaki słodki!... U... m... m!... Pijana?... Wielkie rzeczy! no, tak!... pijana... Tybyś się sama upiła, gdyby cię poczęstowano! Ty... cnotliwa...

— Dość tego!... — krzyknęła Szarutka i przemocą wepchnęła Perełkę do kąta.

Perełka się obraziła, długo coś mruczała, po chwili zaś zaczęła w najlepsze chrapać.

IV

SMUTNE PRZYGODY MYSZEK

Ciężko odpokutowała Perełka swoją lekkomyślność.

Długo chorowała i długo nie mogła przyjść do siebie.

Całe szczęście, że dzieci miały już po półtrzecia tygodnia i nie potrzebowały jej opieki.

— Nie gniewaj się na mnie, Szarutko! — prosiła myszka, siadając przy swej przyjaciółce — toć każdemu może wydarzyć się nieszczęście. Ja ci wszystko opowiem, jak to było...

Wiesz, że bardzo lubię muzykę. Na pierwszym piętrze ktoś stale wieczorami wygrywa. Chciałam lepiej usłyszeć, więc przegryzłam otwór w ścianie. Wysuwam z pod podłogi głowę — widzę — siedzi jakiś pan i gra tak zawzięcie, że zdawało się, nic nie widzi, co się dokoła niego dzieje.

Na środku stoi stół nakryty, na nim resztki zastawy i kieliszki z jakimś zielonym płynem.

Włazę na stół i zbieram odrobinki chleba, potem próbuję owego napoju... Wyśmienity! Trochę w nosie kręci, ale dobry!

Słucham dalej muzyki i popijam likier... Potem przesuвам się do drugiego kieliszka.

A potem już nic nie pamiętam, co się ze mną działo. Musiałam spaść ze stołu, bo mam boki potłuczone. Jak trafiłam do domu, nie mam pojęcia.

No, pogódź się ze mną, Szarutko! I tak odpokutowałam za swoje...

Szarutka szczerze była przywiązana do Perełki, więc i tym razem rozmowa skończyła się na całusach.

Młode myszki były rozumne, plotek o matce nie rozniosły, o wypadku tym nikomu nie opowiedziały.

Młode myszki zachowywały się zawsze bardzo cicho i ostrożnie, a rozmawiały ze sobą na migi, nikt się więc nie dowiedział o przygodach Perełki.

Życie popłynęło dawnym trybem.

Ale razu pewnego wpada Perełka zdyszana do nory.

— Szarutko! — woła — chodź ze mną do spiżarni, skarb prawdziwy znalazłam! Szewcowa wyprawia chrzciny, napiekła babek, ciasta, ale najlepszy z tego wszystkiego pasztet... Powiadam ci, łapki lizać!... Chodź, moja złota, moja jedyna!...

I póty prosiła, póty namawiała, aż Szarutka się zgodziła.

Poszły.

Pasztet rzeczywiście był wyborny. Ale Szarutka wciąż się oglądała, czy kto nie wchodzi do spiżarki.

— Wiesz co? — powiada Perełka — wejdźmy w sam środek pasztetu, nikt nas nie spostrzeże, choćby nawet wszedł tutaj!...

Wierzaj, nie pożałujesz, żeś mnie usłuchała.

A tymczasem pani szewcowa wyprawiała sute przyjęcie. Dokoła stołu siedziało dużo gości; — wesoło rozmawiali, jedli, pili.

Przyszła kolej na pasztet.

Gospodyni przynosi go na stół i zaprasza gości.

— Przepadam za pasztetem! — powiada chrześna matka i kraje kawałek.

A wtem, tuż z pod noża wyskakuje Szarutka.

— Ach! ach!... — krzyczy przerażona pani.

— Co się dzieje? — woła gospodyni, przyglądając się z przerażeniem pasztetowi.

A tu Perełka wypada.

— Mysz! mysz!... — wołają wszyscy.

Robi się straszne zamieszanie. Goście zrywają się z miejsca i usiłują złapać zwierzątko. Pan szewc porwał laskę, służąca szczotkę od podłogi, jakiś otyły pan parasol... Gonią myszki, wołają, krzyczą...

A one wystraszone głowę potraciły, skoczyły na ziemię i nie wiedzą, gdzie uciekać.

Szarutka parę razy głową o mur uderzyła, Perełce ktoś ogonek przydeptał.



Natrafiły wreszcie na schody i po nich szczęśliwie uciekły.

Wróciły do domu przygnębione: jedna miała nos rozbity, druga ogon spuchnięty.

Przygody swojej dzieciom nie opowiedziały. Tylko rozmawiając często z sobą o niej, nieraz wzdychały:

— Przeklęty pasztet!... — Niewiele brakowało, a byłybyśmy życie przez niego straciły!...

Z Ż Y C I A R A K A

Siedzę w starym pantoflu, na zamulonym dnie stawu, a jednak nie jest mi tu źle, a nawet jestem szczęśliwy. Zaraz się wytłumaczę, dlaczego i w jaki sposób się tu znalazłem.

Mieszkaliśmy dawniej na dnie rzeki, pod dużym kamieniem.

Rodzeństwo było liczne, nieraz podziwiałem, jak matka mogła sobie dać z nami radę.

Skoro tylko słońce zaświeciło, zaraz dostawaliśmy się na jej grzbiet, a ona wtedy wypływała z nami na środek rzeki.

Ach!... jakże tam było pięknie! Woda czyściutka, słońce jasno świeci, mogliśmy doskonale oglądać i podziwiać, co się działo pod nami, na dnie rzeki i co nad nami, na powierzchni.

Shczęśliwi i beztroski, nie znaleźmy jeszcze wtedy, co to smutek, co walka. Gdy jakiś niepożądany gość zbliżał się do nas, matka dawała znak i wnet chowaliśmy się, czepiając się małych nóżek kochanej matki. O, wtedy byliśmy zupełnie bezpieczni!

Po takiej wycieczce czekał nas zwykle suty obiad. Jedliśmy ikrę rybią, różnego rodzaju liszki, robaki, a czasem i rybkę usniętą. Często bardzo do stołu z nami zasiadał rak — nasz wujaszek — duży i pośpny. Był on podobno dawniej postrachem dla wszystkich. Kto go ujrzał, uciekał przerażony.

Ale dziś inaczej, nikt sobie z niego nic nie robi, bo wujaszek stracił swoje potężne kleszcze w jednej ze zbójckich wypraw.

Wuj nasz — to wielki smakosz — często wyśmiewał nasze skromne obiady, z czego mi się wcale nie podobał. Zato lubiłem bardzo, gdy opowiadał o swych niezwykłych przygodach.

— Wujaszku! — pytam pewnego razu — gdzie straciłeś jeden z twoich wąsów?

— A tobie, mały, co do moich wąsów? — odrzekł gniewnie i odwrócił się ode mnie.

Po obiedzie jakoś się rozchmurzył, spojrzął na mnie wesoło i powiada:

— Z wąsem moim, mój drogi, taką miałem przygodę: Płynę raz u jednego brzegu rzeki... płynę... płynę... Ale o czym miałem mówić?

— O wąsach, wuju! — dodałem śpiesznie, gdyż był stary i pamięć mu nie dopisywała, co chwila tracił wątek powieści.

— Aha! więc płynę... Naraz spostrzegam ślimaka... ślimaka... Ale co ja chciałem powiedzieć?

— Jak wuj wąs stracił!

— A prawda, prawda! Otóż widzę ślimaka, a przy nim — żuk-pływak — siedzi... hm!... hm!...

Wkońcu przestał mówić. Czekałem czas jakiś, wreszcie zapytałem:

— Wujaszku, proszę wujaszka, co dalej było?

— Czego ty chcesz, błaznie, ode mnie?

— Wujaszek nie skończył opowiadać...

— Co opowiadać? Kiedy i o kim miałem ci opowiadać?

— O tym pływaku, którego wuj spostrzegł siedzącego przy ślimaku — powiadam nieśmiało.

— A, to był straszny wypadek!... Patrząc, pływak. Ciekawość mnie wzięła: żywy, czy nieżywy? Więc dotykam go wąsem. A tu ten potwór chwyta mój wąs zawieszony i chlast! przecina go swymi ostremi szczękami... Ale, mój drogi, czy to ja małe miałem przygód w życiu!?

— Mieć przygody! — powtarzam, — musi to być bardzo przyjemnie.

Na te słowa wujaszek się uśmiechnął, a matka ciężko westchnęła.

— Co też ty, synku, pleciesz? — rzekła, spoglądając na mnie.

A ja pomyślałem sobie: „Wszystko jedno, co będzie, to będzie, byle tylko mieć przygodę!”

Przy końcu roku byłem już dużym rakiem. Mieszkałem pod tym samym kamieniem, co dawniej, ale

korzystałem już z zupełnej swobody i doskonale sobie radziłem.

Wiedziałem, gdzie żywności szukać, umiałem pływać przodem i tyłem, umiałem zręcznie omijać wrogów, a w razie niebezpieczeństwa kleszczami im pogrozić.

Ale takie życie z dnia na dzień uprzykrzyło mi się. Marzyłem wciąż o przygodach.

No, i natrafiłem na jedną taką, że mam jej dosyć na całe życie.

A było to tak:

Wracam pewnego wieczoru do domu i spostrzegam koszyk jakiegoś dziwnego kształtu, a w nim kilka rybek nieżywych. A ja, przyznam się, przepadam za padliną!

Przedostaję się więc przez pręty do środka i zaczynam w najlepsze zajadać.

Wtem coś zakotłowało się w wodzie... Koszyk podniesiono do góry... i naraz znalazłem się w jakimś worku wraz z kilkoma innymi rakami.

— Co się tam wtedy z nami działo? trudno wypowiedzieć! Ciasno, gorąco, duszno! Jeden włazi na drugiego, jeden gniecie drugiego, ten szczypie, ten się przewraca, a każdy sądzi, że w ten sposób wydobędzie się na wolność.

A jakże! na wolność!...

Z worka trafiliśmy do kosza kucharki, która nas



przygniotła sałatą, jarzynami, burakami i postawiła w kącie kuchni.

Ciężkie to były dla mnie chwile!... Słabsze raki mdlały, silniejsze usiłowały uciec. I ja należałem do nich.

Porozłaziliśmy się po całej kuchni.

Byłem już na schodach, gdy nie wiedzieć skąd pies wyskoczył, zaczął czekać i chce mnie chwycić. A ja go cap! kleszczami za pysk.

Pies przeraźliwie zaskowyczał.

Zaraz nadbiegła kucharka. Podniosła krzyk.

— Oj, rety! rety! co się dzieje, wszystkie raki pouciekały z koszyka!

I pośpiesznie zaczyna nas zbierać.

Ja dostałem się na sam spód miski. I to wszystko przez tego niegodziwego psa, a tak szczęśliwie byłbym się ocalił.

Po chwili patrzę... a tu nas zaledwie kilka pozostało, a reszta?... co?... dostała się do garnka z wrzącą wodą.

Jakto, żywcem mają mnie ugotować?

Rozpacz mną ogarnęła.

Tymczasem już jestem w jej ręku. Za chwilę zginę, jak moi towarzysze.

Ratując się, ściskam z całych sił ostremi kleszczami kucharkę za palec.

Ona usiłuje mnie oderwać, aż jej łzy z bólu stają w oczach. Ale nie taka to łatwa z rakiem sprawa!

Kucharka zaczęła machać ręką, chcąc się w ten sposób ode mnie uwolnić... Wtedy puściłem ją i odrzucony upadłem do paki z węglami.

Nie spostrzegła widocznie, gdzie się podziałem, bo długo szukała po wszystkich kątach, ale na próżno.

Zmęczony i wycieńczony długo leżałem bez czucia.

Dopiero ku wieczorowi zebrałem siły, powoli wydostałem się ze skrzyni i uciekłem z kuchni na podwórze. Tułałem się tam noc całą, aż wreszcie dostałem się do jakiegoś stawu.

— Ach, co za szczęście, pomyślałem, nareszcie mam wodę!

Czułem się odrodzony, woda mnie orzeźwiła, zacząłem szukać schronienia.

Niebawem na dnie stawu natrafiłem na jakiś stary pantofel i obrałem go sobie na mieszkanie.

Nie powiem, żeby mi było wygodnie, ale wierzę, że czuję się szczęśliwym, gdy wspomnę, co mnie miało spotkać w garnczku wrzącej wody.

PRZYGODY MŁODEGO BORSUKA

I

W dużym lesie liściastym mieszkała rodzina borsuków. Norę miały obszerną, czystą i przewiewną.

Stary borsuk surowo przestrzegał porządku: każdy musiał po sobie sprzątać, każdy musiał uważać, żeby nie zanosić brudu lub śmieci.

Dopóki dzieci były małe, nora wystarczała im w zupełności, ale młode borsuki urosły, już mają drugi rok i matka z niepokojem myśli, że wkrótce nie będą mogły się zmieścić.

Pewnego wieczoru tak do nich przemówiła:

— Moje pieszczochy, pamiętajcie o tem, że niezadługo zima nadejdzie, musicie pomyśleć o urządzeniu własnego mieszkania, bo w mojej norze będzie wam za ciasno.

— Już ja dawno o tem myślę, — odpowiada młody borsuk — ale jeszcze nic nie wymyśliłem.

— Ja też szukam sobie miejsca na norę, ale jeszcze nic nie znalazłem! — powiada drugi.

— A ty? — pyta matka trzeciego, który siedział, jakby zaspany.

— Ja o niczem nie myślę, niczego nie szukam i także nic nie mam.

— Żle, mój synku, zima może cię zaskoczyć, gdzie się podziejesz. Twój ostry włos nie zabezpieczy cię przed mrozem.

Młody borsuk nie lubił słuchać morałów, nasępił się, głowę opuścił i poszedł przed siebie.

Idzie, nie wiedząc dokąd i poco, gdy wtem napotyka lisa.

— Jak się masz, kumie? Czy cię osa w nos ugryzła, żeś taki zły, ani się przywitasz?

Borsuk był wogóle małomówny i gadulstwo lisa nudziło go, więc odrzekł krótko:

— Daj mi spokój! — i kroczył dalej.

— A możeś się nie wyspał? co? Pewno pokłóciłeś się z rodzeństwem — ciągnął lis dalej — a może i pobiłeś się? I to się zdarza u was podobno często. Nie?

— Odejdź, mówię ci, bo cię ugryzę! — powiada borsuk.

— Nie masz się za co gniewać na mnie, ot, lepiej powiedz, co ci jest? Możeś chory? Możeś głodny? Mów, jestem ci życzliwy! Chcesz, to ci skrzydełko kuropatwy odstąpię! Naprawdę!

Na myśl o kuropatwie borsukowi ślinka do ust

napłynęła. Jednym okiem spojrzął na lisa i zatrzymał się.

— No, to daj to skrzydełko, skoro masz.

— Mam, naturalnie, ale nie przy sobie, pójdź, to cię zaprowadzę.

— Kiedy muszę szukać miejsca na norę, matka mi kazała.

— Dobrze, żeś o norze mi przypomniał! Trzeba ci wiedzieć, że moja nora zapadła się i muszę kopać nową. Ot, mógłbyś mi dopomóc, wiadomo wszystkim, że borsuki najlepsze jamy kopią.

— Kiedy, powiadam ci, że matka nam kazała szukać na zimę mieszkania.

— Wielkie rzeczy! — powiada lis — zaraz ci doskonałe miejsce znajdę. Znam cały las i wiem, gdzie ci dobrze będzie, ale ty mi za to dobrą jamę wykop.

— Niech i tak będzie! — odrzekł borsuk i wziął się do roboty.

Duże a mocne pazury doskonale ziemię kopią, tylko kurz leci dokoła, a ostre zęby raz po raz przecinają korzenie, które napotykJają w ziemi.

Niebawem dół był tak długi i głęboki, że mógł całego borsuka schować.

Zmęczony i spocony położył się, żeby odpocząć, a wtem lis nadszedł.

— No, i cóż, wykopałeś, widzę, norę? Dobra!

Ale, coprawda, mógłbyś i korytarze porobić, będę musiał sam je kopać.

— Gdzie skrzydełko? — pyta borsuk — bom strasznie głodny.

— Skrzydełko?... wiesz...—wykręcał się lisek— ktoś porwał widocznie... już nie znalazłem...

— A miejsce na mieszkanie znalazłeś?

— Mieszkanie?! Jakie mieszkanie?... A prawda!... miejsce na norę twoją! Tak, naturalnie... — jąkał lis, spoglądając na wszystkie strony. — Co ja się naszukałem, co nabiegałem, co się namęczyłem... Ale czego nie robi się dla przyjaciela...

— Możebyś już raz skończył to paplanie i powiedział, gdzie będzie moja nora?

— O, patrz... tuż... w moim sąsiedztwie.

I wskazał mu kotlinkę obok, w pobliżu, przy drugiej sosence.

— Niech i tak będzie! A teraz pójde na śniadanie. Zjadłem, coprawda, kilka pędraków i glist, kopiąc ziemię, ale jakoś to mnie nie nasyciło.

— Wiesz, przyjacielu, jak się jest głodnym, najlepiej mięsem się pożywić. Chodź ze mną na młode zajączki. Są jeszcze małe, uciekać nie umieją.

Pomyślał trochę borsuk, pobujał się na nogach i wkońcu zgodził się iść za lisem w pole.

Siedzą już dość długo za krzakiem, a zajączków jakoś nie widać. Już borsuk stracił nadzieję i miał

odejść, gdy lis trącił go mocno nogą. Zdaleka pokazały się małe, niezgrabne zajączki.

Co parę kroków zrobią, to się przewrócą.

— Uważaj, — powiada lis pocichutku — gdy który zbliży się — chwytaj.

Borsukowi aż oczy zaiskrzyły się na myśl o takim śniadaniu. To też śledził je uważnie.

A zajączki, o niczem nie wiedząc, zabawiają się wesoło i coraz bliżej przysuwają się do krzaczka.

— Chwytaj!... — szepnął nagle lis.

Natychmiast borsuk wypadł z za krzaka, porwał zajączka i ścisnął go tak mocno, że ten odrazu ducha wyzionął.

— Teraz biegnij, co masz siły, do lasu, bo jeszcze nas tu gotów kto zobaczyć.

Borsuk, niezwykle biec prędko, stąpa ciężko, jakby nogi za sobą ciągnął, a w dodatku zając był dosyć ciężki, więc ledwie się dowlókł do lasu.

Lis zniecierpliwiony dawno już czekał nań przy norze.

— A to niedołęga! — powiada — ledwie wleczesz się, jabym trzy razy był już zpowrotem. Dawaj zająca, muszę obejrzeć, czy dobry.

I zaczął obwąchiwać mięso na wszystkie strony.

— U! nie będziesz mógł go jeść, bo zając był chory, a takie mięso gorsze jest od padliny.

— Więc to co? ja i padlinę lubię! — odrzeczł borsuk.

— Ale gdzież tam! zachorowałbyś po takim mięsie.

I nim borsuk obejrzał się, lis porwał zdobycz i uciekł.

Domyślił się borsuk, że go lis podszedł. Rozgniewał się okrutnie. Ze złości chrząkał, drapał ziemię i byłby zdusił lisa, tak jak tego zajęcia, gdyby go miał blisko.

Na szczęście nawinął się mu wąż po drodze, więc go zjadł i to go uspokoiło.

Poleżał trochę w słońcu, wypoczął, zdrzemnął się i ruszył szybko do domu.



II

POŻEGNANIE

W rodzinie borsuków dziś wielka uroczystość. Na trawie, przed norą zastawiano sutą wieczerzę. Czego tom niema!

Na jednym liściu ślimaki, glisty, chrabąszcze; na drugim — marchew, rzepa; a dalej owoce różnego rodzaju.

Dwa młode borsuki siedzą z matką na polance i niespokojnie rozglądają się na wszystkie strony.

— Idzie! idzie!... — woła jeden, zdaleka spostrzegłszy brata.

— A chodźże prędzej, marudo!—krzyczy drugi.

— Nareszcie — powiada borsukowa. — Dzięki Bogu! Przyznam się, że byłam już niespokojna, bałam się, czy nie przytrafiło się ci co złego. No, chodźcie, malcy, chodźcie, niech po raz ostatni was nakarmię i ugosczę, bo już wkrótce rozstaniemy się, może na zawsze! Jedzcie, dzieciaczki, chyba na apetycie wam nie zbywa?

— O, tak! Dziś niebardzo poszczęściło się — odzywa się starszy — złapałem jedną jaszczurkę i dwie glisty, a zakąsiłem korzonkami.

— A ja — odpowie drugi — znalazłem gniazdo trzmieli i tak uraczyłem się, że miałem dosyć na cały dzień.

— No, to ja miałem lepsze kąski: upolowałem zajączka...

— I całego sam zjadłeś? Widzicie go! To masz chyba dość na całe dwa dni...

— Nie jadłem go wcale... — odrzekł borsuk nieśmiało — lis mi porwał go z przed nosa.

— Brum!... brum!... śmiały się borsuki, to cię urządził! Brum!... brum!... pokładały się ze śmiechu.

— Oj, synku, nie radzę ci zadawać się z lisem — rzekła matka — zawsze cię w pole wyprowadzi. A przytem porządnemu borsukowi przystoi samotność, my nawet z borsukami nie przyjaźnimy się. Zabierajcie się do wieczery!

Młodym borsukom nie trzeba było powtarzać tego dwa razy: potrawy znikają szybko jedna za drugą.

— Z waszego opowiadania widzę jednak, że jesteście jeszcze bardzo lekkomyślne — mówiła matka, zajadając rzepe.

— Jesienią trzeba korzystać z czasu i jeść dużo jarzyn i owoców, a dla różności można też sobie wygrzebać z ziemi kilka robaków, korzonki też do-

brze smakują. Nie radzę wam jednak uganiać się za zwierzętami: dużo umęczenia, a mało pożytku.

O tej porze trzeba jeść dużo i dobrze. A jak uda się, to i o zapasach warto pomyśleć.

Pożegnalna uczta ciągnęła się przez noc całą.

Już słońko dobrze oświeciło wierzchołki drzew, kiedy rodzina borsuków zaczęła żegnać się.

— Powiedzcie mi przynajmniej—powiada matka przez łyż, — gdzie nory pozakładacie, może was kiedy odwiedzę.

— Ja, matko, będę mieszkać nad wąwozem.

— A ja niedaleko stąd, pod rosochatą sosną.

— A ty czemu nic nie mówisz? — pyta matka trzeciego syna.

— Ja zostaję w tej samej norze! Bo skoro bracia odchodzą, sądzę, że miejsca będziemy mieli dosyć.

— Ty, figlarzu, widzę, umiesz sprytnie urządzać się w życiu, ale choć jeden kurytarz musisz wykopać, żeby mieszkanie rozszerzyć.

Moje dzieci drogie, pamiętajcie, że z dziadów i pradziadów nora borsuków jest najwygodniejsza i najczystsza. Nie żałujcie pracy na wykopanie dużej jamy: z niej niech idą kurytarze...

— Wiemy, wiemy, matko, zrobimy taką, jaką była nasza nora. Musimy już iść, żegnamy cię, matko!

— Żebyście nie zapomnieli porobić lufcików

u góry w mieszkaniach, bo się udusicie — radziła dalej matka.

— Dobrze, dobrze! — wołały dzieci, rozchodząc się każde w swoją stronę.

— A nie zapomnijcie jamę dobrze ubić, mchem i liśćmi ziemię wysłać i dół wykopać na śmieci... — wołała głośno borsukowa.

— Dobrze!... — odpowiedziały zdaleka młode borsuki.

— Dzieci! dzieci!... wróćcie się!... Zapomniałam powiedzieć o najważniejszej rzeczy.

Za chwilę znowu zebrały się borsuki dokoła matki.

— Chcę wam powiedzieć, żebyście nory w dzień nie opuszczały, tylko w nocy wychodziły na zewnątrz bo o nieszczęście nietrudno. Wyłażąc z nory, obejrzyjcie się, czy nic wam nie grozi, obejdźcie norę parę razy wokoło i wtedy dopiero wychodźcie do lasu... W dzień opuszczajcie norę poto tylko, żeby ogrzać się na słońcu.

— Czy już możemy odejść? — pytały młode, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— Jak to im pilno w świat wyruszyć, a matce serce krwawi się na myśl o rozłące. Bądźcie szczęśliwe, moje dzieci, może spotkamy się kiedy.

I poszły młode borsuki.

A matka długo patrzyła za niemi, dopóki jej nie zginęły z oczu.

III

ŁAKOMSTWO UKARANE

Od kilku dni młody borsuk pilnie pracuje nad przygotowaniem sobie zimowego mieszkania, ale jeszcze daleko do tego, żeby było podobne do nory rodziców: za mało galeryj, któremi mógłby uciekać w razie niebezpieczeństwa; podłoga nie jest tak twardo ubita. Dokończy chyba na przyszły rok.

Usiadł na trawie, grzeje się na słońcu i tak sobie myśli: „Jak się wszystko dziwnie zmieniło! Tyłu nas było razem, tak gwarno było, tak wesoło, matka zawsze pamiętała o naszych wygodach... A teraz?... Siedzę sam jeden... jak sierota.

I ogarnął go taki smutek za matką, za domem, iż ani spostrzegł się, jak mu łzy z oczu zaczęły padać.

— Płaczesz, sąsiedzie?... Co się stało, powiedz? — pyta lis, podchodząc do borsuka, sądząc, że to będzie najodpowiedniejsza chwila do zgody.

Borsuk rzeczywiście był tak rozrzewniony, że nawet do lisa żalu nie czuł; owszem, był mu nawet wdzięczny, że w takiej chwili zbliżył się do niego.

Zwykle małomówny, tym razem opowiedział wszystko o sobie, o rodzinie, o uczcie, o rozstaniu...

— Co będziesz żale rozwodził! — przerwał mu lisek. — Spójrz, jaki piękny wieczór, chodź lepiej ze mną na spacer, do dworu, na kaczki, albo jeszcze lepiej — do pasieki. Ludzie są w polu, nikt nas nie zobaczy. Sam się najesz miodu i do domu trochę zabierzesz.

— Prawdę lis mówi — pomyślał borsuk — dobrze będzie zbierać trochę zapasów na chłodne dni.

— Dobrze! — odpowiada — pójdę z tobą.

Niebawem stanęli przy dużym ulu.

— Teraz postaraj się ul przewrócić, a potem będziemy miód wylizywać.

Borsuk wierzył w rozum lisa, a że był dość mocny, więc trącił raz, drugi i ul przewrócił się na ziemię.

Wtem jak szalony cały rój pszczół wyleciał w powietrze; nuż pszczoły kłuć borsuka w plecy, w głowę, w łapy.

Wkońcu dostały się do warg i nozdrzy napastnika.

Widzi borsuk, że nie da rady z pszczołami, zwiija się więc w kłębek, głowę chowa między nogi i czeka nim odlecą.

A wtem rozległ się krzyk:

— Złodzieje! Darmozjady! Będziecie nam miód podbierać!

Były to głosy dziewcząt i chłopców, którzy otoczyli biednego borsuka.

— Trzymajcie go, dziewczuchy! — woła parobek — a my go kijami zabijemy.

— Mądryś! Jeśli go trzymać będę, to sama kijem dostanę — powiada dziewczyna.

— No, to przytrzymaj go fartuchem, a ja po strzelbę do dworu polecę.

Tak też zrobili.

Borsuk czuje, że źle skończy się ta wyprawa, kręci się, usiłuje wydostać się, ale daremnie: dziewczyna trzyma z całej siły.

Aż tu i psy nadbiegają.

— Już ostatnia chwila przyszła na mnie! Co będzie, to będzie! — woła więzień.

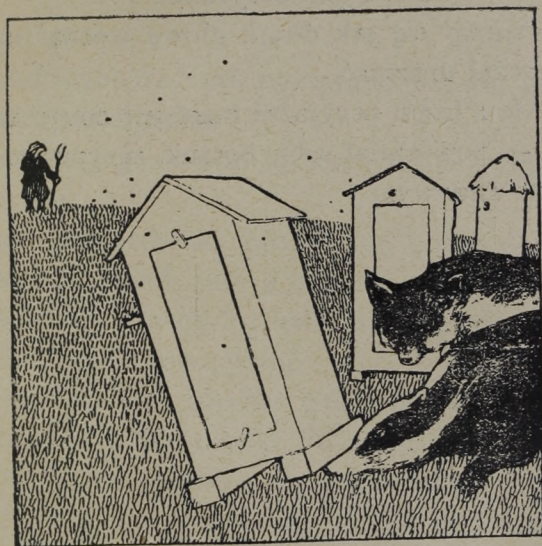
Wyciąga łapy i szarpie niemi bez litości nogi bosej dziewczyny.

Ta krzyknęła z przerażenia i bólu i upadła na ziemię, jak długa.

A borsuk, wydostawszy się z pod fartucha, dał susa i uciekł, nim przybiegli chłopcy ze strzelbą.

Pędzi borsuk, co ma siły, nie patrzy przed siebie, ani się nie obejrzy. Przebiegł łąkę, przebiegł pole, na chwilę odetchnął na miedzy i znowu biegnie, aż wkońcu dotarł do lasu. Zmęczony, wsuwa się w jakiś dół i leży.

W głowie mu się mąci, serce mu bije, nie może przyjść do siebie. Zdaje mu się wciąż, że go pory-



wają, że psy go zaraz rozszarpią, że ludzie go kijami biją, to znowu, że już umiera...

Tak przeleżał do późnej nocy.

Zimny wiatr trochę orzeźwił go, siły mu wróciły, powoli zawlókł się do domu.

Teraz dopiero uczuł, jak miłe to schronienie, jak bezpiecznie w norze, jak przytulnie...

Wyciągnął się jak długi, głowę wsunął między łapy i zaczął drzemać...

— Ale z lisem przyjaźni mam już dosyć na całe życie!... — powiedział sobie borsuk, zasypiając snem twardym, zimowym.

JANEK-PRZYBŁĘDA

Janek-Przybłęda... tak nazywano we wsi pewnego małego pastuszka.

Rodzice jego dawno już umarli, nie pamięta ich chłopczyzna.

Tułał się podobno dawniej od domu do domu: dostawał tu obiad, tam nocleg, aż wkońcu zamożny gospodarz, Maciej Suchała, wziął go do siebie za pastucha i kazał owce pasać.

A był na wsi jeszcze jeden przybłęda: chudy pies, czarny, w białe łatki. Nikt nie wiedział, skąd wziął się, gdzie mieszka, do kogo należy. Tułał się od podwórka do podwórka, od jednego śmietnika do drugiego.

Witano go najczęściej słowami:

— A pójdziesz ty, przybłędo!... Wynoś mi się!

Nieraz i kijem go poczęstowano. Siedział pewnego razu Janek na ganku i wieczerzę kończył, gdy wtem widzi — zbliża się do niego pies-przybłęda, wychudzony, z ogonem opuszczonym, ledwie wlecze się.

— Masz! — rzecze Janek i rzuca kartofel.

Pies porwał chciwie rzucony kęs i patrzy na Janka, czy chłopiec nie gniewa się, czy nie obije go.

Janek z litością patrzył na przybłądę.

— Taki sam biedny sierota, jak i ja — pomyślał.

Po chwili znów rzucił mu parę kartofli i kawałek chleba.

Pies prędko zjadł datek, łeb podniósł i z wdzięcznością to na Janka spogląda, to ogląda się dokoła, to odskoczy, aż wkońcu usiadł na tylnych łapach i patrzył na chłopca długo, długo, dopóki ten nie odszedł.

Nazajutrz, jak zwykle, Janek popędził owce w pole i zdaleka już zobaczył psa-przybłądę. Leżał nad rowem i drżał, skomlał cicho.

Gdy ujrzął Janka, porwał się na równe nogi i śmieiej, niż wczoraj, podszedł do chłopca.

— Chodź, psino, chodź ze mną!... Tyś sierota bezdomny i ja sierota! Jak i ty, samotnym na świecie... Obu nam nikt dobrego słowa nie daje... Chodź, może razem lepiej nam będzie na świecie.

I pogłaskał psa po grzbiecie.

A pies, jakby zrozumiał słowa chłopca, zaczęła się skowyczeć; zdawało się, że chce przemówić:

— Pocziwy z ciebie chłopiec, żeś ulitował się nad biednem stworzeniem!...

Od tego czasu między pastuszkciem i psem związała się najściślejsza przyjaźń.

Janek dzielił się z przybłądą nawet najmniejszym kęsem, choć sam był nieraz głodny; głąskał go, bawił się z nim, gonił i uczył go różnych figlów.

— Łatka! — tak nazywał psa — prawda, że lepiej nam jest w polu, niż na wsi. Tam każdemu zawadzamy; popychają nas, przezywają i precz odpędzają... A tu możemy swobodnie patrzeć na niebo, na kwiaty, wygrzewać się na słońcu, słuchać śpiewu ptaków... Jaka tu swoboda, jaka wolność!...

Pies patrzy w oczy Jankowi, macha ogonem.

— Hau! hau! — odpowiada w swoim psim języku.

A zmienił się Łatka bardzo od czasu swego poznania się z Jankiem. Zapadłe boki wyrównały się nieco, szersć gładsza, ruchy zgrabne, spojrzenie wesołe. Zdaje się, że rozumie każde słowo swego przyjaciela.

— Szukaj! — woła Janek.

Wtedy pies biegnie w pole i dopóty tam zostaje, dopóki sobie czego nie upoluje.

Służyć! — woła Janek.

A wtedy Łatka staje na tylne łapki i czeka znowu nowego rozkazu.

Nieraz Janek brał kółko wierzbowe, podnosił do góry i wołał:

— Hop! Pies zgrabnie przeskakiwał przez środek kółka.

I do roboty był Łatka chętny.

— Łatka, gdzie jagnię?

Pies zaraz biegał i kręcił się na wszystkie strony, szukając zabłąkanego jagniątka. Znajdował je wreszcie i z triumfem przypędzał.

Wieczorem znowu pomagał Jankowi zagnać owce z pola do domu. A gdy był już bardzo zmęczony, kładł się u nóg chłopca i głowę opierał na jego kolanach.

— Dobre z ciebie psisko! — powiada Janek — nie martw się, że głodem czasem przymierać musimy. Czekać! będzie nam kiedyś lepiej!... Jak urosnę, zostanę gospodarzem, będę koszykarzem. Będziemy mieli swoją chatę, kaszę, dobre zacierki... Dla ciebie jedną misę, a dla mnie drugą. I bochen chleba znajdzie się... Ty zjesz połowę, a ja drugą...

— Hau! hau! — przerwał mu Łatka uszczęśliwiony, jakby chciał powiedzieć: — „Jak to dobrze... Ale kiedyż to nastąpi?“

Czas prędko mijał. Była już późna jesień, gdy wydarzył się smutny wypadek.

Jankowi zginęła owca; szukał jej do późnej nocy i nie mógł znaleźć.

Wrócił do domu i opowiada o swoim nieszczęściu.

Gospodarz rozgniewał się bardzo.



— Ty przybłędo, ty darmozjadzie! Nie dość, że cię żywię i ubieram, ty mi będziesz dobytek marnować! Owiec nawet upilnować nie możesz?... Wynoś mi się zaraz i nie pokazuj na oczy, nim zguby nie przyprowadzisz. Już ty mnie popamiętasz, jeśli owca się nie znajdzie!...

Rozplakał się Janek, wziął czapkę i wyszedł z domu. Szukał owcy przez noc całą, szukał dnia następnego, lecz nigdzie jej nie znalazł.

— Co tu począć? Do domu wracać niepodobna!... Gospodarz gotów mnie w gniewie na śmierć zatłuc. Pójdę chyba w świat, gdzie mię oczy poniosą! Chodź, Łatka, chodź, mój jedyny przyjacielu!

I poszli przed siebie.

Naładowane wozy co chwila przejeżdżały koło Janka. Mnóstwo ludzi z tobołkami i koszykami śpieszyło się na jarmark.

Janek też podążał za innymi. Wkrótce jednak siły jego zaczęły słabnąć. Od wczorajszego dnia nic w ustach nie miał prócz wody.

Ledwie dowlókł się do miasteczka.

W głowie mu szumiało, nogi drżały.

Usiadł więc na kamieniu przy drodze, bo iść już nie może i odpoczywa.

Dla Łatki dzień ten był wyjątkowo szczęśliwy: po drodze upolował aż dwie kuropatwy, a po dobrym posiłku był zawsze wesoły.

Do miasteczka tego dnia przybyło mnóstwo ludzi.

Ruch był wielki: jedni sprzedawali, drudzy kupowali, a każdy miał jakiś interes do załatwienia.

Na Janka nikt nie zważał. Nikt nie widział jego bladej twarzy, ani wpadłych policzków, ani świecących smutnych oczu.

Tylko Łatka zaglądał wciąż w oczy swego pana.

— Trzeba go zabawić, — myśli psina — zawsze śmieje się, ile razy sztuki pokazuje...

Znalazł jakiś wolny placyk i zaczął popisywać się.

To chodził na dwóch łapach, to służył pociesznie, to z kijem maszerował, to koziołki fikał...

Zwróciło to uwagę przechodniów. Ten i ów przystanął, przygląda się, śmieje się.

— A to ci, panie, pies uczony, bo nie każdy potrafiłby takie figle wyprawiać!...

Tymczasem Łatka usiadł na tylnych łapkach, a przednimi macha, przytem zlekka poszczekuje.

— Zapłaty domaga się! — powiada ktoś ze śmiechem.

— Słusznie, skoro nas bawił, trzeba mu zapłacić! — wtrąca przekupka.

I rzuciła psu kawałek kiełbasy.

Za jej przykładem druga rzuciła kawałek chleba, inne sera... Pies wszystko zjada chciwie, ale na Janka wciąż spogląda i coraz to do niego przybiega.

Ale chłopiec siedzi, jak nieżywy.

— Wszystko psu dajecie — odzywa się ktoś z tłumu, — a o chłopcu nikt nie pomyśli?... Toć on musiał psa sztuk tych nauczyć!...

— Prawdę mówicie, kumie! Chłopcu więcej się należy.

I naraz wszystkie smaczne kąski zwróciły się dla Janka. Ani się spostrzegł chłopiec, kiedy miał na kolanach chleb, jajka, ogórki, a nawet parę groszaków.

Zdumiał się, widząc to wszystko. To Łatka sprawił mu taki obiad.

Posilił się i otucha jakaś wstąpiła mu w serce.

— Chodź, Łatka, teraz ty mnie żywić będziesz!

Zaledwie uszli parę kroków, gdy jakiś wyrostek zabiegł im drogę, wołając:

— Pokażcie sztuki waszego psa uczonego!...

Janek zatrzymał się, dał znak i rozpoczęły się na nowo popisy.

Dokoła wszyscy się śmiali, podziwiali zręczność Łatki, wołali na psa rozmaitemi zdrobniałymi przyzwiskami, a gdy Janek podniósł kółko i kazał Łatce przeskoczyć, tłum zaczął wołać jednogłośnie:

— A to zuch pies! A to zuch!

I znowu widzowie chętnie złożyli zapłatę dla psa i jego nauczyciela.

A gdy po całym dniu wędrówki po miasteczku Janek obliczył swoje zarobki, przekonał się, że ma dwie złotówki i na cały dzień dosyć żywności.

— Łatka — rzecze ucieszony chłopiec — nie zginiemy na świecie! Kiedy potrafisz zarabiać, będziemy chodzili po jarmarkach, po dworach, aż uzbieramy tyle pieniędzy, że dostaniemy się do szkoły koszykarskiej.

A wiesz ty, psiaku, co to jest szkoła koszykarska. Dostać się do szkoły takiej, to szczęście!... Rozumiesz ty?... Rozumiesz ty?...

— Hau? — odpowiedział pies, machając ogonem.

Ale Janek nie znał psiego języka i nie wiedział, czy to ma oznaczać „tak“ czy „nie“.

Minęło kilka lat.

Nad pięknym wężem, w otoczeniu płaczących brzoź, stoi schludny parterowy domek.

To szkoła koszykarska.

Ruch wielki w niej panuje: każdy uczeń musi wykończyć jakąś robotę. Jutro będzie popis i wystawa robót. Ale dziś już wiedzą wszyscy, czyja praca okaże się najlepszą.

To Janek-przybłąda najlepsze krzesła wyplata, najtrwalsze robi kosze. Janek najprędzej sprzęt każdy wykończy, bo i pilny i pomocnika ma dobrego.

A nielada to pomocnik, bo pies, który mu witki podaje.

— Janek był najlepszym uczniem, co tu długo mówić! — słyhać rozmowę chłopaków — a i towa-

rzyszem był dobrym; każdemu pomógł. Szkoda, że już wkrótce opuści nas...

A Jankowi pali się w ręku robota i oczy iskrzą się z radości, boć to już jutro zostanie koszykarzem i będzie mógł z łatwością na siebie i na Łatkę zapracować.

Z M Y Ś L N Y K W I C Z U Ś

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

Kasia — było imię małej dziewięcioletniej dziewczynki.

Mieszkała na wsi, na Wołyniu.

Rodziców miała ubogich, rodzeństwo liczne; musiała pójść na zarobek.

W sąsiedniej wsi mieszkała jej matka chrzestna, Walentowa. Była zamożną i gospodarstwo miała duże. Lubiła swoją chrześniaczkę, więc chętnie przyjęła Kasię do siebie do służby.

— Wezmę cię na lato — rzecze chrzestna — a i sukienczynę ci sprawię. Za to będziesz pasła krowę i zaopiekujesz się prosiakiem.

— Dobrze, matko chrzestna! — odrzekła Kasia i w rękę Walentową pocałowała.

Cieszyła się dziewczynka, że sama na siebie zaraduje i rodzicom ciężarem nie będzie.

Nazajutrz wczesnym rankiem Kasia już siedziała na pagórku pod dębem.

W pobliżu na polance pasła się krowa, a tuż przy niej, uwiązane do drzewa, kręciło się prosiątko.

○ Kasia świn nie lubiła, bo to i głupie i niechlujne i złe stworzenie, ale o swoim prosięciu tego powiedzieć nie mogła, bo było łagodne, przytulne i czyste, a nawet ładne.

Nie miała z niem Kasia wielkiego kłopotu i z dniem każdym coraz się więcej do niego przywiązywała.

— Chr-chr-chr! — wołało prosię, kręcąc się koło pastuszki.

— Widzę, że jeść ci się znowu zachciało, ty obzartuchu!... Cały dzieńbyś tylko jadł!... A ziemi kopać, robaków, korzeni szukać, to nie łaska? Co?... Nie potrafisz jeszcze? Jeszcze głuptasek jesteś?

— Chr-chr-rr! — odchrząknęło prosię, zapewne chciało powiedzieć:

— Zgadłaś, moja Kasiu, jestem jeszcze bardzo głupi, ale daj mi co zjeść!

— A więc czekaj!

To mówiąc, Kasia wzięła miseczkę, nadoiła w nią mleka i dała prosiakowi.

○ Ten wsunął ryjek do miski i zaczął pić tak chciwie, jakby jeszcze nic nie pił. O mało dziewczyny nie przewrócił.

— Chr-chr!—prosił ponownie, gdy już nic w misce nie było. A że nic nie dostał, więc położył się przy Kasi i zasnął.

○ Ale nie na długo wystarczyło prosięciu mleka. Wkrótce apetyt tak mu się zwiększył, że pastuszka



nieraz była w kłopotcie, czem tu ulubione prosiątko pożywić.

Dawała mu obierzyny, zlewała do korytka resztki obiadu, nieraz swoim obiadem się dzieliła. Prosiak zjadał wszystko i znowu piszczął, jakby jeszcze nic tego dnia nie jadł.

Aż wkońcu nauczył się ryc ziemię i w przerwach pomiędzy jednym posiłkiem a drugim, który dostawał od Kasi, wynajdywał sam sobie różne smaczne kąski.

Podziwiała wtedy dziewczyna, ile to takie małe stworzenie może pochłonąć jednego dnia glist, pędraków, myszy, żab i korzonków roślinnych...

— Niech mu tam na zdrowie idzie! — mówiła pastuszka.

A i szło mu jedzenie na zdrowie, bo urósł, utył, aż mu skóra poróżwiała.

Ale jednocześnie powziął brzydki nałóg — wlażyć do brudnych rowów, do kałuż, do błota największego.

Co Kasia się namartwiła, co nie napracowała, żeby go od tego odzwyczaić — nic nie pomagało.

Widocznie taką już miał naturę. Szczególnie gdy było gorąco — musiał w błocie leżeć.

Razu jednego siedzi Kasia pod drzewem i wianuszki sobie z kwiatów splata. Wtem nagle poczuła zapach grzybów.

Podchodzi bliżej, przygląda się i widzi, że jej

wychowanek wykopuje z ziemi jakieś duże, bronzowe kule, podobne do kartofli.

— A mój Boże! — pomyślała dziewczyna — toć to trufle! Nieraz je w domu sama wykopywałam i do miasteczka zносиłam.

Pozbierała w fartuszek grzyby i sprzedała do dworu.

Teraz dobrze pilnuje, kiedy jej wychowanek znów do trufli się zabierze, kiedy ich zaczną szukać.

A w nagrodę za to dostaje chleba i mleka.

Widocznie prosię zrozumiało, za co mleko mu dają, bo ile razy wykopało trufle, dawało znak głóśnem chrząkaniem.

A Kasia za każdym razem zbierała trufle i niosła na sprzedaż.

Przy końcu lata prosię urosło na porządnego wieprzaka, a tak było przywiązane do Kasi, że jak pies biegało za nią wszędzie.

Aż razu pewnego dowiaduje się Kasia, że chrzestna matka ma sprzedać wieprzaka rzeźnikowi.

Martwi się dziewczyna, przykro jej, a co spojrzyna swego wychowanek, to łyzy jej w oczach stają.

— Mój ty drogi, mój jedyny, wiesz, że wkrótce się rozstaniemy, zabiorą cię, zabiorą!... — lamentowała Kasia.

Próbowwała prosić chrzestnej, żeby nie sprzedawać Kwiczusia — tak go przeważała, ale napróżno.

— Czybys wolała, żebyśmy go sami zabili? Toć

prosię nie zabawka, nie po to się je trzyma, żeby patrzeć na nie...

— Prawda — powiada Kasia — może i lepiej, że sprzedadzą, niżby mieli Kwiczusia w moich oczach zabijać.

I w głowie jej się nie mieściło, jak ludzie zabijać mogą takie mądre i miłe stworzenie.

Po dłuższej naradzie gospodarze postanowili za parę dni zaprowadzić wieprzka do miasteczka na jarmark.

Kasia nie śpi ze zmartwienia; idzie na pole — płacze, wraca — płacze. Ukradkiem łzy ociera, żeby chrestna nie gniewała się.

Nareszcie przyszedł dzień ostatni.

Kwiczuś, jakby chciał pocieszyć swoją opiekunkę: przez cały dzień wykopywał trufle.

Dwa koszyki pełne zaniósła Kasia do dworu.

— Co ci się stało, mała — zapytuje dziedziczka — żeś taka smutna?

A dziewczyna nie mogła się powstrzymać i rozplakała się na cały głos.

— To już ostatnie trufle...

— Dlaczego? — pyta pani.

— Bo... Kwiczusia... sprzedają... a potem... zabiją — odrzeczła cicho, szlochając.

— A to twój wieprzak te trufle wynajduje? Ten, który za tobą wciąż biega? To on taki zmyślny?

— A jużci!...

— Czemuś nam dawniej nie powiedziała, zaraz go kupimy od twojej chrzestnej i będziemy chować nadal. A może ty chcesz przyjść do nas na służbę?

Kasia własnym uszom nie wierzy. Ociera łzy fartuchem — to płacze, to śmieje się, to na dziewczkę spogląda.

— Czy naprawdę nie będziecie go zabijać? — pyta.

— Daję ci słowo, Kasiu! Takie zmyślne prosię — to rzadko... Będziemy z niem chodzili na trufle. Sama się przekonasz, że prawdę ci mówię...

Nawpół przytomna z radości, pastuszka wybiegła i leciała co tchu opowiedzieć o wszystkim chrzestnej matce.

— A niech kupią — powiada Walentowa — zawsze więcej zapłacą, niż na targu, wieprzak ładny! Od rana możesz go zaprowadzić, a po pieniądze, powiedz, że wieczorem przyjdę. No, czegoż znowu beczysz? Toć nie zabiją twego Kwiczusia.

— Chciałabym pójść... do dworu... na służbę. Pani mnie godziła... Ale może wam, matko chrzestna, potrzebną jestem?

— Potrzebną mi bardzo nie jesteś, bo to i lato się kończy, krowa więcej w ogrodzie paść się będzie. Idź, jak chcesz, do dworu...

Kasia przypadła do ręki Walentowej, podziękowała za wszystko. Potem rzeczy swoje w chustkę

zawiązała i do późna wieczorem izbę sprzątała, żeby wszystko w porządku po sobie zostawić.

Nazajutrz o świcie poszła do dworu, niosąc węzełek na plecach.

A wieprzak, pochrzäkując, dreptał tuż przy niej.

— Że też mnie takie szczęście spotkało, mój Boże, ktoby się mógł spodziewać!...

— Ty głuptasie, ani przypuszczasz, jak byłeś bliski śmierci! — mówiła do wychowanka swego, klepiąc go po grzbiecie.

— Chr-chrr! — chrząkał Kwiczuś, jakby chciał powiedzieć:

— Nie wiem, Kasiu, czego ty się cieszysz, ale wiem jedno, że jestem straszliwie głodny!

Teraz Kasia służy we dworze, gdzie jest jej bardzo dobrze. Wychowankiem swoim opiekuje się w dalszym ciągu i cieszy się, że mu jest dobrze, lepiej nawet, niż dawniej.

NA LISTKU JAŚMINU

I

Na listku jaśminu, w miękkim, watowanym łó-
żeczku spała liszka. Śpiew sikorki ją obudził.

Przetarła oczki, rozgląda się... Pięknie dokoła:
słonko jasno świeci i zbiera mgły z ziemi.

Przeciagnęła się raz, drugi i zrobiła mały otwór
w swojej firaneczce.

Zapach młodych liści roznosi się w powietrzu.
Na jednym z nich wisi kropelka rosy, a promień
słońca przegląda się w niej, jak w lusterku, i mieni
się różnemi barwami.

— Jaka musi być słodka ta piękna kropelka —
pomyślała liszka — chętniebym ją wypić!

Powoli wydostała się ze swego łóžeczka i trzy-
mając się mocno liścia, wypić kropelkę.

— O, jakże miło jest w słonku się kąpać, miło
gdy wiatr kołysze, lub gdy pyłek kwiatowy przele-
ci!... Nie wrócę do łóžeczka, czy mam ciągle le-
żeć? — powiada liszka, przechadzając się po list-

ku. — Zostanę tu na zawsze! Ale co to być może?...
Listki jakoś dziwnie szeleszczą, muszki gdzieś uciekają, a nawet słońce schowało się za chmury?...

Deszcz lunął, jak z cebra.

Na listku utworzyła się kałuża. Woda oblewa liszkę, o mało jej nie splóczy, a liszka drży z zimna i ze strachu.

— Może lepiej do domu wrócić! — pomyślała.
Dopełzła do łóżeczka i ukryła się.

A tymczasem słońko znów wyjrzało.

— Nie wywabisz mnie! — myśli liszka. — Ty tylko ogrzać potrafisz, a przed deszczem ukryć nie chcesz. Łóżeczko moje jest lepsze, bo i grzeje i chroni przed wilgocią. Wolę w niem pozostać.

II

Mija dzień, mija drugi, liszka leży na swoim posłaniu, przewraca się z jednego boku na drugi. Kiedy niekiedy łebek wysunie, urwie kawałek listka i znowu się skryje. A tymczasem ciało liszki zaczęło porastać włoskami. Po tygodniu ma już na sobie piękne futerko.

— Nudzi mi się! — powiada liszka. — Co tu przyjemego leżeć wciąż i leżeć! Pójdę lepiej w świat! Włochate futerko obroni mnie przed deszczem, a w razie czego, któż mi zabroni wrócić do łóżeczka?

Wyszła z ukrycia. Główkę wysoko zadziera, rozgląda się. Na gałęzi wisi kwiatek jaśminu, a w nim kropelki niby nektar wabią ku sobie.

Liszka czuje w sobie nowe siły, wspina się na tylne łapki i dosięga kwiatu jaśminu; mocno go obejmuje i wszystką słodycz z niego wypija.

A kwiatki jaśminu coraz bardziej otwierają swoje białe kielichy. Zapach jaśminu odurza naszą liszkę. Nie wie, co się z nią dzieje.

Już do trzeciego kwiatka wchodzi...

Wtem z kielicha wyłazi jakiś czerwony, baryłkowaty owad.

Cofnęła się przerażona... Niedługo oprzytomniała, przyjrzała się bacznie i poznała w nim Bożą krówkę. Nic strasznego!

— Przepraszam! — powiada liszka nieśmiało— nie spostrzegłam, że pani siedzi na kwiatku...

— Nic nie szkodzi! — odrzekła Boża krówka— domyśliłam się, że musisz być bardzo młodą, więc trudno być roztropną.

— Tak, rzeczywiście, proszę pani, pierwszy raz w życiu na taką wędrownkę odważyłam się.

— I na tę uroczystość tak się wystroiłaś? Fi! fi! Cóż za wstęgi czerwone, wspaniałe! A te żółte guziki po bokach...

— Mam jeszcze ładne zielone żyłki przy szyi —

przerywa liszka i dumnie zwraca głowę ku biedronce.

— Widzę, widzę! Bylebyś szczęśliwie uchronić się mogła. No, bądź mi zdrowa!

Przy tych słowach biedronka rozpostarła skrzydełka i odleciała.

Liszka była nią zachwycona!

— Taka grzeczna, uprzejma! Tak mnie chwaliła! Musi być bardzo dobra.

Podniosła głowę wysoko, aby widzieć biedronkę choć zdaleka.

Ale naraz zerwał się wiatr, potrącił mocno listkiem i strącił liszczę na ziemię.

— Niestety — pomyślała liszka — pewno zginę w tej trawie, już łóżeczka mego nie odnajdę nigdy!

Niedługo jednak rozejrzała się w otoczeniu i otucha wstąpiła do serca.

— Czy mam przez całe życie kolebki się trzymać? Trzeba sobie jakoś radzić.

Dotarła wkrótce liszka do pnia, a po nim dostała się znowu do gałązek. Potem wysnuła z siebie pajęczynę i uczepiła się nią mocno do listka.

— Niechże mnie teraz spróbuje wiatr zrzucić! — pomyślała.

I znów dawny humor wrócił liszce, bo i czegoż ma się martwić?... Listków ma pod dostatkiem, przed deszczem włoski ochronią, przed wiatrem pajęczyn-



na, a gdy słońce zanadto palić zacznie, to może się pod listek schować.

— Dobrze jest na świecie! — powtarzała liszka.

III

Minęło parę tygodni.

W życiu liszki nic się nie zmieniło. Apetyt tylko z każdym dniem zwiększał się coraz bardziej. Gdy tak razu jednego siedziała na listku, przyleciała Boża krówka.

— Jak się masz, mała, nie poznałam cię zdaleka, tak urosłaś, utyłaś... Ale cóżes mi taka smutna?

— Ach, moja droga pani — użalała się liszka — ciężkie mam życie: od rana do nocy muszę się strzec wrogów. To ptak, to osa, to ważka, to mrówki — wszystko czyha na moje życie, nawet ten obrzydły pająk na mnie sieci zakłada. Kryję się więc, jak mogę, czasem pod listek, czasem spuszczaam się na ziemię, a czasem, zaskoczona, udaję nieżywą... Gdyby tak mieć skrzydła! Latałabym wszędzie bez pamięci, nikogo się nie bojąc... Tobi mi było życie!...

— Nie martw się, mała, urosną ci skrzydełka!

— Urosną, powiadasz, a gdzie? Na głowie, czy na nogach, a może na grzbiecie? I to kiedy? Powiedz, śliczna pani!

— Moja droga, za wiele ode mnie wymagasz; tego ci powiedzieć nie potrafię.

— Żartujesz ze mnie, Boża krówko!... — Nie urosną mi skrzydełka! Dwa razy już skórkę zmieniłam, ale zawsze miałam to samo futerko; kilka oczek po bokach, te same trzy pary nówek na piersiach i trzy na brzuszku.

— Bądź cierpliwą, widziałam nieraz w życiu swoim, jak liszki zamieniały się na motyle skrzydlate....

— Gdyby to było prawdą, co ty, złocista pani, mówisz, to przysięgam, że nigdy nie byłabym drapieżnicą, jak te skrzydlate, pierzaste potwory!... Nie tknęłabym żadnego stworzenia, nikomu żadnej krzywdy nie wyrządziłabym nigdy. Skrzydeł używałabym nie po to, żeby kogoś gonić, tylko żeby w świat polecieć, tam, gdzie jest pięknie, gdzie słonecznie...

— Zobaczymy! — rzekła Boża krówka i odleciała.

IV

Lato już się skończyło. Kwiatki jaśminu poopały. Słońce zaczęło wcześniej kryć się za pagórek. Coraz częściej wiatr przylatywał i coraz dłużej deszcz padał.

Liszka spostrzegła, że listki nie są już tak soczyste, jak dawniej i słońko nie tak ciepłe i że sama staje się coraz bardziej ociężała. Nawet do wycieczek straciła ochotę.

— Widocznie koniec na mnie przyszedł, umrę niedługo, jak ten chrabąszcz, co pod drzewem leży.

I zaczęła liszka zwolna schodzić z wierzchołka drzewa.

Obejrzała się raz jeszcze na piękne zakątki, gdzie tak wesoło młodość spędziła, pożegnała je i ukryła się w miejscu zacisznym, gdzie swój żywot miała zakończyć. Przyczepiła się do listka, przegięła się i oprzędła pajęczyną. Oprzęd niebawem okrzepł i zawisł na listku.

Jak we śnie, zaczęły się przesuwać w myśli liszki dawne obrazy: piękna noc gwiazdzista... szum liści... jasny obłoczek... biały kwiatek jaśminu... A takie to było swojskie, takie miłe, jakby w tej gwiazdce, w tym obłoczku, w kwiatku tkwiło jej życie własne...

A czasem zdawało jej się, że to piękne życie nie może się skończyć, że przyjdzie jeszcze jakieś życie nowe, że będzie jeszcze piękniejsze.

— Umieram... — wyszeptwała liszka i usnęła.

Jak długo trwał sen, liszka nie pamięta. Nie wiedziała, że śnieg ziemię pokrył, że mróz ścisnął wszystko, że wicher szalał... Spała do wiosny.

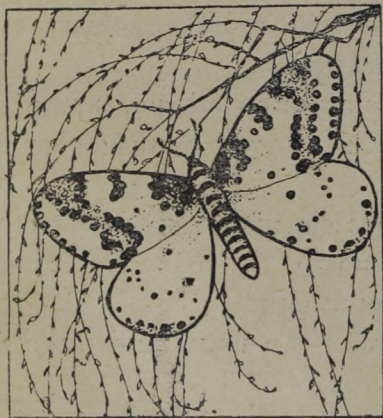
Aż pewnego dnia pękła trumienka i liszka obudziła się. Ogląda się dokoła...

— Czy to sen?... Wszak jestem zupełnie inną: ani śladu futerka, tułów zgrabnie przepasany, na piersiach sześć nówek i śliczne barwne skrzydełka.

— A więc spełniły się przepowiednie Bożej
krówki!

Wyprostowała skrzydełka i uniosła się w świat
piękny, słoneczny.

Przyrzeczenia swego dotrzymała. Żaden motyl
nigdy nikomu nie wyrządza krzywdy.



W L I S I E J J A M I E

I

B yło to w lesie. Słońce już się wzniosło wysoko i zajrzało do lasu. Obudziło ptaszki na gałęziach, chrząszczyki, muszki, komary i do kotlinek zwierzęcych zajrzało.

Tuż pod starym świerkiem, pomiędzy korzeniami była nora; przebywał w niej lis ze swemi lisiątkami.

— Wstawajcie, malcy, już dawno czas na was!...

Lisięta obudziły się. Jedno się drapie za uchem, drugie oczy przeciera.

— Zimno!... — woła najmniejsze i do matki się tuli.

— Jak na słońce wyjdziecie, będzie inaczej — powiada matka. — Ruszajcie się, próżniaki, ruszajcie!

Leniwie podniosły się dzieci i nawpół senne wyszły wraz z matką na polankę.

Ale jakaż była radość, gdy spostrzegły na trawie kilka półżywych myszek... Domyśliły się, że matka pozносиła im ten przysmak na pierwsze śniadanie.



Oczy im się zaiskrzyły na widok tak smacznych kąsków.

Już i sen i zimno ich opuściło. Rzucają się na myski, gonią, chwytają; to się potkną, to przewrócą!...

A matka siedzi i patrzy okiem pełnym miłości, jak jej pociechy wprawiają się w polowanie.

— Chyba niema piękniejszych lisiąt na świecie! — myśli sobie.

— A jakie futerka mają piękne! Czy może być coś lepiej dopasowanego do otoczenia. Kto je pozna, gdy będą siedziały na wrzosie w zbożu, lub między kamieniami!

Moje pociechy, nie umiałabym powiedzieć, które jest piękniejsze? Ten ma pyszczek najbardziej śpiczasty, ten drugi z białą plamką na piersiach — zupełny ojciec. A ten najmłodszy, toć taka przylepka!... Każdego za serce chwytają!... Czy mi się uda szczęśliwie ich wychować?

Na tę myśl smutek ogarnął lisa, zwiesił głowę i głęboko się zamyślił.

A tymczasem dzieci spożyły swoje śniadanie i oglądając się za matką.

— Czegoś taka smutna? — pyta lisiątko, głaszcząc ją po policzku. — Czyś głodna?

— Może gniewasz się? — pytają. — Powiedz, czemu oczki twoje na nas nie patrzą?

— Czemu łapkami nie przebierasz? Języczkiem pyszczka nie oblizujesz? Czyś nie chora? — zaga-

dywały ją dzieci jedno przez drugie, tuląc się do matki.

— Pieszczochy wy moje! Czy to mało matka ma trosk, nim was wychowa! Ot, i teraz myślę, jak długo będę z wami szczęśliwa! Czy wam kto krzywdy nie wyrządzi?

— A kto może nas skrzywdzić? Dlaczego? — pytają dzieci.

— Mało to złych istot na świecie! Ot, choćby ludzie! Nie dość, że sami nas zabijają, ale jeszcze zastawiają sidła i psami nas szczują.

— Dlaczego, mamó, dlaczego nas tak prześladowają?

— Dlaczego? Widocznie zazdroszczą nam ciepłego futerka. Tak było z waszym ojcem: padł pod strzałami i ducha wyzionął.

— A dlaczego tatko nie uciekał?—pyta lisiątko.

— Nie zawsze można uciekać, moje dziecko!... Ojciec wasz lubił wygrzewać się na słońcu. Położył się raz jednego na kamieniu i zasnął. A miał mocny sen, a przytem chrapał. Nie słyszał więc, jak psy nad nim stanęły...

— Nigdy nie będę spał na kamieniu! — mówi do siebie lisek młody.

— Nie będę nigdy chrapał! — mówi drugi.

— Nigdy snu mocnego mieć nie będę! — mówiły lisiątka naprzemian.

— Wielu naszych krewnych podobną śmiercią skończyło...

Zamilkł lis i łapką łzy otarł.

— Nie martw się, matko, my cię obronimy i przed ludźmi i przed psami. Nas jest trzech, a ty jedna, damy sobie radę.

— Mam takie zęby, że i strzelbę przegryzę, spójrz!

I lisek pokazał kły, które mu już wyrastały.

— A ja mam takie pazury, że niech nikt się nie zbliża!

— Co tam po twoich pazurach! — przerywa im trzeci — ja mam taki węch, że poczuję zdaleka człowieka, czy psa, czy kogokolwiek; uprzedzę was wszystkich i uciekniemy przed niebezpieczeństwem.

— Wielkie mi rzeczy jego węch! Czy to nie mam takiego samego nosa? A ja ci powiem, że mam taki słuch, iż posłyszę, jak mucha leci, jak człowiek z domu wyjdzie; to ja, nie kto inny ciebie, matko, ostrzegę!

— Nie przechwalaj się, zarozumiałczuchu! — powiada starszy lisek — i w bok brata szturchnął.

Ten znowu jego za ucho pociągnął i niewiadomo, na czymby się to skończyło, gdyby się matka między nich nie wdała.

— Dosyć dokazywania, dzieci!... Wracajcie do nory, prześpijcie się, a ja pójdę na pole, może uda mi się kuropatwę upolować.

Pogłaskała lisiątka i poszła.

II

W NIEWOLI

Nie zawsze łowy bywają pomyślne. Lis stanowczo nie miał tego dnia szczęścia. Co się zbliży do kuropatwy — ta zrywa się i odlatuje.

Co się nabiegał, co nawyczekiwał, jakich wybiegów nie używał — na nic się nie zdało, nic nie mógł upolować.

Z niczem do nory wrócić też nie może, bo czem swoją trójkę nakarmi? Postanowił też jeszcze raz spróbować.

— Wkrótce kaczka z kaczątkami do gniazda wracać będzie — myśli lis — ukryję się za krzakiem i porwę ostatnie pisklę. Matka ani się spostrzeże!... Czy mnie to pierwszozna!

W godzinę później lis biegł do nory, trzymając w zębach młode kaczątko. Sam głodny, ale ptaszka nie tknie.

— To dla najdroższych moich dziątek!

Już niedaleko, już czuje zapach swej nory.

— Jak to się rzuca zaraz na jedzenie, próżniaki!—myśli lisek. — Jak będą sobie wrywać te moje maleństwa zgłodniałe!... Ale co to jest? Ktoś siedzi pod świerkiem... przy norze!... Czy mnie oczy mylą? Jakby jacyś ludzie?... Co mogą robić przy samym otworze do naszej nory?...

Serce lisa mocno bić zaczęło.

Zatrzymał się... kaczętko na ziemię położył... patrzy...

Nie wie, czemu ci ludzie tu siedzą, ale przeczuwa, że mają złe zamiary.

Przycisnął się do ziemi, oka nie spuszcza, myśli, jak obronić dzieci przed ludźmi.

A lisiątka, o niczem nie wiedząc, raz po raz z nory łby wysuwają i szczekają, wołając na matkę.

Wtem lis widzi, że jeden z ludzi sięga ręką do nory i wyciąga jej synka najstarszego.

— Mam cię nareszcie! — powiada, trzymając młodego liska za kark.

— Śliczne lisiątko! — wołają dzieci — a jakie złe, jak się gniewa!...

A zwierzątko kręciło się na wszystkie strony i usiłowało wyrwać się z rąk.

— Czekaj, czekaj, zaraz cię uspokoję! — powiada człowiek i usiłuje lisa do torby wsadzić.

Ale w tej chwili lisiątko się wykręciło i tak mocno ugryzło swego napastnika w rękę, że ten aż krzyknął z bólu i lisa wypuścił.

Zwierzátko tymczasem dało susa i prędko zginęło w gęstwinie lasu, tak że nawet psy odnaleźć go nie potrafiły.

— Ocalony! — pomyślała matka i lekko westchnęła — może sobie nareszcie odejdą.

Wtem straszny widok uderzył oczy lisa.

Oto ten sam okrutny człowiek trzyma za tylne łapki jej drugie dziecko, ukochanego pieszczocha.

— To chuchro nie potrafi się obronić. Muszę je wyratować!... Niech sama zginę, niech mnie psy rozszarpią... ale dziecka mego nie dam na zatrącenie.

I skradając się cichutko, lis zbliżył się do nory, a gdy już był niedaleko, zerwał się zniemacka, chwycił za kark syna i nim się wszyscy spostrzegli, nie było ani lisa, ani dziecka.

Wszystko to się stało tak niespodziewanie, a tak szybko, iż nikt nie usiłował nawet gonić zbiegów.

— Widzieliście państwo, co za przebiegła sztuka z tego lisa! Z rąk mi wyrwała!... Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem! — powiada człowiek.

Dopiero trzecie lisiątko dostało się do rąk ludzkich.

Włożyli je w torbę i ponieśli do domu.

Kręcił się biedak, pisał, wył, szczekał, ale na nic to się nie zdało.

— Będziemy go chowali — mówił chłopiec — przyzwyczaj się do nas i może nie ucieknie.

— Ja mu zaraz na szyję wstążeczkę przywiążę — mówiła dziewczynka, patrząc na lisa. — Będziemy go nazywali „Znajda“.

— Dopóki młody, niech siedzi w klatce, a gdy podróśnie, będziemy go na łańcuchu trzymali—powiada włodarz, wracając z dziećmi do domu.

Od kilku dni lisek siedzi zamknięty w klatce, jak więzień. Skulony, smutny, przytulił się w kąciку.

— Gdzie teraz matusia moja, gdzie bracia? Gdzie las nasz i nora? Już nigdy was nie ujrzę! Tak niedawno mogłem biegać po polance, gonić się... a teraz!?!...

Dzieci zносиły liskowi mnóstwo jedzenia: mięso, bułki i inne rzeczy — ale zwierzątko siedziało, jak senne, i niczego tknąć nie chciało.

Czasem z rozpaczry rzucało się na wszystkie strony; jak oszalałe, usiłowało rozgryźć druczane pręty, wyło przeraźliwie... To znów padało na ziemię, jak nieżywe.

Martwiły się dzieci, że ich wychowanek tak nie niełaskawy, że mizernie wygląda, że schudł i nie tylko bawić się, ale nawet patrzeć na nie nie chce.

Długo się naradzały dzieci między sobą i z rodzicami, aż wkońcu postanowiono wynieść klatkę do lasu. Zwierzątko będzie miało więcej powietrza, ciszy, spokoju; powoli do więzienia się przyzwyczai i jeść zacznie.

Tak też dzieci zrobiły.

III

OCALONY

Nad wieczorem klatkę ustawiono na brzegu lasu. Zwierzątko nic nie rozumiało, co się z nim dzieje; siedziało, jak dawniej, skulone w kącie.

Nadeszła noc. Było jasno i cicho. Od czasu do czasu wietrzyk przynosił zapach wonnych traw i ziół.

Lisek uniósł się na tylne łapki, śpiczasty pyszczek wsunął pomiędzy pręty, zaczął się rozglądać i myśli sobie:

— Tak samo, jak u nas bywało! Las. Księżyc świeci. Tam gdzieś w norze siedzą bracia przy matce, tulą się do niej, a ja tu sam jeden, jak sierota...

— U... u - u!... — zaczęło wyć zwierzątko. — Ani jeść, ani spać w klatce ich nie będę, wolę umrzeć, niż żyć w niewoli. U... u-u!...

A w leśnej ciszy tylko echo odpowiadało mu: u! u!...

Tymczasem księżyc wbił się wysoko i oświecił polanę.

Patrzy się lisek i oczom nie wierzy. Przy klatce stoi jego matka.

— Nie płacz, synku, przyniosłam ci kurczątko; zjedz, mój biedaku, wszak pewno głodny jesteś! — mówi, zbliżając się do klatki.

Więzień chciwie rzucił się na mięso, szarpie je i zajada.

— Taka żywność to co innego, to od matki kochanej, nie od tych straszliwych gnębieli.

A lis tymczasem biega dokoła klatki, zagląda, wsuwa pyszczek między druty, to znowu z całej siły drut szarpie.

Wtem jakaś nowa myśl mu błysnęła:

— Nie martw się, mały, ja cię wyratuję.

Przewraca klatkę i zaczyna ją toczyć do lasu.

— Trzymaj się, synku, mocno, a nie bój się, nic ci się złego nie stanie!... Będziesz przynajmniej przy nas, jeżeli nie możesz być z nami w norze.

I toczył lis klatkę po trawie, po gałęziach, po korzeniach.

Młodemu liskowi już w głowie się mąciło, boki miał poobijane, ale wierzył w rozum matki i cierpiał.

Naraz czuje, że klatka zatrzymała się, pewno matka pragnie odpocząć...

I stała się rzecz nieoczekiwana: drzwiczki klatki otwarły się!

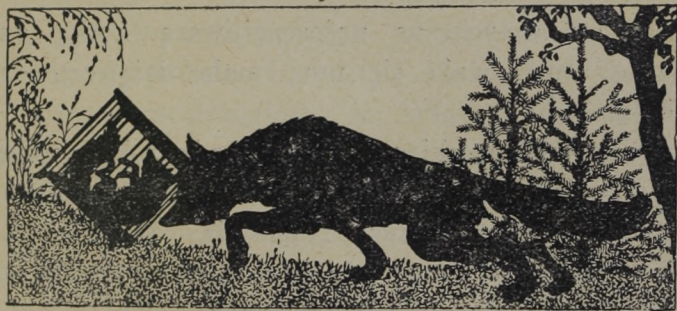
Sprawiły to korzenie leśne, które je odsunęły.

Lis patrzy zdumiony...

— Uciekaj! — krzyknęła matka i co siły popędziła za synem w głąb lasu, do nory, do swoich.

Nazajutrz, skoro świt, pobiegły dzieci, żeby się przywitać z więźniem.

Ale jakież było ich zdziwienie, gdy nie znalazły ani lisa, ani klatki. I do tego czasu nie wiedzą, co się stało z ich wychowankiem „Znajdą“.



P A M I Ę T N I K K O T K I

I

Jestem Femcia.

Jak wyglądam, zaraz mogę powiedzieć: mam białe futerko i tylko łapki i uszy czarne. Taką się widziałam w lusterku.

Byłam dotychczas najszczęśliwszą kotką na świecie: opiekowała się mną mała dziewczynka, Władzia.

Poiła mnie mlekiem i śmietanką, głaskała mnie tak, że nie potrzebowałam łapkami się czesać, do snu układała mnie na poduszce, pieściła, całowała, bawiła się ze mną, nawet gdy siadała do nauki lub do robótki, trzymała mnie na kolanach.

Bardzo też kochałam moją opiekunkę.

W nią się tylko wpatrywałam, o niej myślałam.

Najsmutniejsze chwile były wtedy, gdy Władzia wychodziła z domu.

Wtedy biegłam na łóżko mojej panienki, zwiijałam się w kłębek i zasypiałam.

Budziłam się już na ręku mojej ukochanej Władzi.

I tak mijały dni jasne, szczęśliwe.

Raz jeden, o ile pamiętam, byłam dla mojej opiekuńki niedobra, nawet okrutna. A było to tak.

Jak wspominałam, byliśmy z Władzią nierozłącznymi towarzyszkami; nawet gdy wszyscy domowi siadali do stołu, Władzia nalewała mi na spodek mleka i stawiała obok swego talerza.

Wtedy wskakiwałam na kolana dziewczynki, opierałam się tylnymi łapkami, a przednie stawiałam na stół. W ten sposób zjadałam obiad.

Nikomu to nie przeszkadzało, i nikt się temu nie sprzeciwiał.

Raz odbywała się jakaś uroczystość w domu. Zebrało się wiele osób, dzieci i dorosłych.

Zaraz spostrzegłam, że Władzia jest więcej gośćmi zajęta tego dnia, niż mną.

To mnie bardzo zabolalo.

Nadszedł czas obiadu.

Wskakuję, jak zwykle, na kolana mojej przyjaciółki, a ona mnie ręką odpycha:

— Idź, Femcia, idź do kuchni na obiad! — mówi.

Tego już było za wiele! Obraziłam się; nic tego dnia jeść nie chciałam. Nie zbliżyłam się też do Władzi.

Postanowiłam odplacić się za to dziewczynce.

Dziś wiem, że źle zrobiłam, ale taka już nasza kocia natura.

Długo myślałam nad tem, w jaki sposób najbardziej dokuczyć Władzi.

Znalazłam sposób.

Wieczorem, gdy wszyscy się rozeszli, Władzia wpada do pokoju i woła:

— Kici! Kici moja, Femciu!

— A ja nic na to, niby nie słyszę.

— Femciu! co ci, malutka, czyś ty nie chora? Cóż to? uciekasz ode mnie?

Wzięła mnie przemocą na rękę.

A ja cap!... pazurkami w rękę.

Władzia krzyknęła z bólu i puściła mnie. Ja zaś hyc! oknem i przez całą noc nie byłam w domu.

Nie wiem, co się działo z Władzią, ale mi ta zemsta odebrała spokój. Żałowałam teraz swego brzydkiego czynu. Żałowałam bardzo.

Nazajutrz przeprosiliśmy się.

Wszystko znowu było, jak dawniej. Od tego wypadku już nigdy nic między nami nie zaszło. Przeciwnie, zdawało się, że jeszcze silniej przywiązałam się do mojej pani.

I naraz, jak grom z jasnego nieba! Dowiaduję się, że Władzia wyjeżdża do dużego miasta, do szkoły, a mnie zostawia u swojej przyjaciółki, Anielci.

Co się ze mną działo! Ile przebolealiśmy z moją

drogą opiekunką, trudno opisać! Zdawało się, że nie przeżyję tego rozstania!

Wkońcu postanowiłyśmy pisać pamiętniki, dopóki znowu nie będziemy razem.

I otóż piszę pierwsza, pošlę to mojej słodkiej Władzi, a piszę wszystko, nic nie ukrywając; niech wie, jaka jest jej Femcia i niech taką lubi.

II

MÓJ PIERWSZY DZIEŃ U OBCYCH

Żle spałam. Miałam bardzo niewygodne poślanie, w kącie, na jakiejś starej płachcie! Cóż to za pościel!

A tak smutno dokoła! Nikt mną się nie zajmuje, nikt nie pogłaszcze...

O, droga Władziu, dziwna jest ta twoja przyjaciółka Anielcia!...

Dla niej wszystko jedno, czy jestem w pokoju, czy mnie niema, czy śpię, czy czuwam.

Postawi przede mną spodek z mlekiem i nawet nie zajrzy, czy je wypiałam, czy mi smakowało.

Ja się tu do nikogo nie przywiążę. Nudy śmiertelne! Leżę najczęściej na oknie i drzemię.

Poszłam wczoraj, żeby się trochę rozerwać, do kuchni.

Włożę na okno i zaczynam muchy łapać.

A tu jakaś złośnica kucharka, jak nie krzyknie!... jak nie trzepnie ścierką!... Myślałam, że mi nogi poprzetrąca. Uciekłam co sił.



No, już tam nigdy noga moja nie postanie!...

Wogóle mam zwyczaj zbliżać się tylko wtedy, kiedy mnie ktoś sam zawoła.

My, koty, mamy dosyć godności, żeby nie iść do ludzi nieżyczliwych. Nie tak jak psy, które mają zwyczaj lizać rękę swego pana, choć je bije. Fe! co to za poniżenie.

Nie wierz, Władziu, jeżeli ci mówić będą, że koty nie umieją się przywiązać do ludzi, to nieprawda!

Przywiązujemy się i to bardzo, ale do tych, którzy nas lubią.

Za ciebie, Władziu, życiebym oddała.

A cóż mnie łączy z tymi ludźmi, wśród których jestem obecnie?

Naprawdę, więcej jestem przywiązana do tego kąta, w którym śpię, i do tego okna, na którym leżę. I gdyby ci ludzie wyprowadzili się z mieszkania, tobym nie ruszyła się za nimi.

Inaczej było z tobą!... Przez dwa dni biegałam, jak szalona, na wszystkie strony, szukając drogi do ciebie, i gdyby nie obawa przed psami, możebym i dotarła do tego dużego miasta.

Ja tu chyba umrę z tęsknoty za tobą! Zdziaczałam zupełnie: włos mi się jeży, uciekam od ludzi i tylko o tobie, moja pani, myślę.

Pamiętaj o twojej Femci!...

III

MÓJ DRUGI DZIEŃ I PIERWSZA ZNAJOMOŚĆ

Wracam z ciekawej wycieczki. Byłam dziś w nocy na polowaniu z kotem, naszym sąsiadem.

Zaprowadził mnie do piwnicy. Weszliśmy tam niepostrzeżenie.

Ach, co było uciechy!...

Do samego świtu goniliśmy myszy.

Złapałam jedną, pobawiłam się nią trochę i rzucałam. Ale mój towarzysz zjadł co najmniej trzy...

Nie powiedziałam mu tego, ale pomyślałam sobie: żarłok ordynarny!

Chciałam już wrócić, ale drzwi od piwnicy były zamknięte.

— Co tu począć? W tej wilgotnej norze niepodobna dłużej siedzieć.

Ale mój sąsiad kot jest bardzo pomysłowy: wskazał mi zakratowane okno u góry i w mgnieniu oka wdrapał się na nie.

Ja też za nim podążyłam.

Byłam jednak bardzo zmęczona i chciałam jak najprędzej wrócić do domu.

Okazało się, że wszystkie drzwi były jeszcze zamknięte.

A tu zimno przejmowało. Dokoła pustka. Bałam się czegoś i nie wiedziałam, co robić.

Zaczęłam wołać przeraźliwie: Miau - u - u!
mia-u-u!

Na moje wołanie przyleciał kot-sąsiad.

— Ty piecuchu rozpieszczony! Poduszcзки ci zaraz potrzeba! Wstydź się wyrzekać! Ot, chodź lepiej ze mną do wozowni! Na ziemi wyśpisz się tam lepiej, niż w domu.

Podziękowałam mu i za chwilę byliśmy na miękkim, pachnącem sianie.

— To pocziwe kocisko! — pomyślałam sobie. I zasnęłam.

IV

MÓJ TRZECI DZIEŃ. CZUJĘ NOWE SIŁY

Od paru dni nie widziałam kota. Któregoś wieczoru zbliża się do mnie. Ale jakże wyglądał!... Brudny, podrapany, szersć najeżona!

— Co ci jest, sąsiedzie? — zapytuję. — Czy się z kim biłeś?

— Rozmaicie bywało... — odpowie kot trochę zmieszany. — Przez dwa dni do domu nie wracałem... Ale co tam!... Przyszedłem ci powiedzieć, że dziś w nocy urządzamy wielkie łowy w ogrodzie; chcesz, to wybierz się z nami!

Posłuchałam sąsiada i nie żałowałam.

Łowy trwały przez całą noc. Naschodziło się mnóstwo kotów. A jakie zręczne!... Jakie wprawne!

Czają się tak cicho, że niktby ich nie spostrzegł. To znowu skaczą z jednej gałęzi na drugą. A gdy spadnie którykolwiek, choćby z wierzchołka drzewa — to zawsze na równe nogi.

Na tych łowach padło mnóstwo zaduszonych ptasząt, myszy i szczurów.

Ja byłam najmniej zręczną i najmniej upolowałam, ale tej nocy obudziła się we mnie jakaś siła drapieżna: z radością chwyciłam małe ptaszki lub myszy, męczyłam, gryzłam, znowu puszczałam... a potem znów wsuwałam w nie swe ostre pazury... Z rozkoszą przyglądałam się ich męczarni... Tysiąc sposobów używałam, żeby dręczyć nieopatrzone stworzenia — dopóki nie wyzionęły ducha.

Całe ciało było mi pomocne: oczy moje doskonale widzą w nocy, miękkie łapki pozwalają mi cicho podejść, a gdy chwytam zdobycz, pazury same się wysuwają i wpijają w skórę mojej ofiary. A szczęki moje, uzbrojone w trzydzieści ostrych jak szpilki ząbków, mają taką siłę, że żadne stworzenie nie może się z nich wydostać.

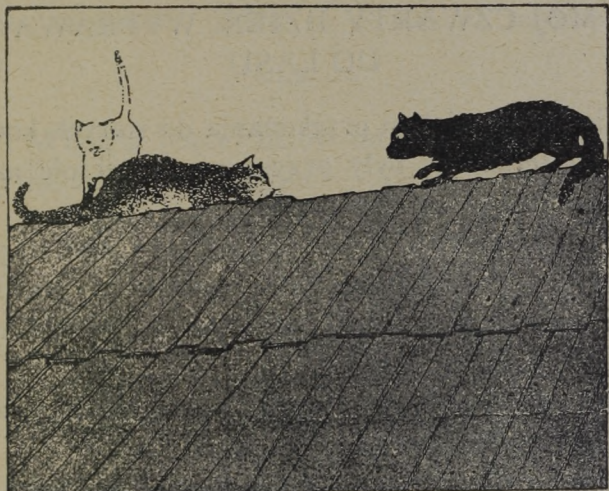
Nawet mój język chropawy okazał się doskonałym narzędziem do przytrzymywania zdobyczy.

Odtąd postanowiłam trzymać się moich towarzyszy.

Polujemy prawie codzień w polu, ogrodzie, na łące...

Potem urządzamy wielką zabawę na dachu domu: gonimy się, dokazujemy, skaczemy... Bodaj w takim towarzystwie!...

Już nie pamiętam, kiedy nocowałam w domu.



V

MÓJ CZWARTY DZIEŃ. WYPRAWA
DO LASU

Nigdy nie miałam przekonania do starych kotów. I teraz one były przyczyną, że wesołe nasze zabawy muszą się przerwać.

Ach, te kociska! Takie to kłótlive i zażarte, parskają, plują, a przytem takie wrzaski wyprawiają w czasie nocnych zabaw, że nareszcie ludzie mieli tego za dużo.

Raz stróż oblał nas wodą. Innym razem jeszcze było gorzej, bo strzelać do nas zaczął.

Muszę się przyznać, że i ja mam dość tych kłótni i wrzasków.

Mój poczciwy sąsiad namawia, ażebyśmy poszli do lasu, o parę wiorst odległego.

Powiada, że teraz lato, noce ciepłe, las suchy, zwierzyny młodej dużo. Biedy nie zaznamy.

On zawsze ma słuszość, bo to mądre kocisko. Zgodzę się pewno na to. Gospodarzy mi wcale nie żal, nie umieli mię do siebie przywiązać. A przy-

znam się, że to życie moje u nich, to mleczko — już mi nie wystarcza.

Jak długo zostaniemy — nie wiem. Sąsiad powiada, że na zimę znowu możemy wrócić do domu dawnego.

Pewno go posłucham.

Jeśli, moja najdroższa, nie otrzymasz więcej kartek ode mnie, będzie to dowód, że poszłam do lasu.

I Władzia więcej listów od swojej wychowanki dotychczas nie otrzymała.

OPOWIEŚĆ STAREJ LIPY

I

Jestem już stara, bardzo stara, mam przeszło 500 lat i dni mego żywota są policzone. Pierwsza silniejsza burza złamie mnie lub wyrwie z korzeniami.

Ale mam ciężkie grzechy na sumieniu. Otóż przed śmiercią chcę ci się, czytelniku, wypowiadać, chcę opowiedzieć o sobie to, czego nikt nie przypuszcza.

Wysłuchaj mnie, czytelniku, wysłuchaj i rozgrzesz, bo to jest prośba staruszki, stojącej nad grobem. Inaczej nie mogłabym spokojnie umrzeć.

Wiesz przecie, jakim szacunkiem otaczają mnie wszyscy w tej wsi. Jak często powtarzają: „nasza piękna lipa“, „nasza kochana staruszka“, „nasza babcia“.

Tymczasem... gdyby mnie znali zamłodu!... Żywcem spaliłoby mnie kazali. Mam na sumieniu nie kilka, ale kilkanaście śmierci.

Jestem bratobójczynią!...

Nie ukryję niczego i opowiem, jak było.

Nie wiem, jakim sposobem znalazłam się w ziemi; nigdy nie znałam rodziców, ale jestem pewna, że nie opiekowaliby się mną troskliwiej, niż rodzice przybrani — ziemia i słońce.

Ziemia dostarczała mi jak najlepszych napojów, doskonale przyprawionych, a słońce obdarzało mnie hojnie ciepłem i światłem.

Dzięki im rosłam i rozwijałam się szybko. Korzenie zagłębiały się w dół coraz bardziej, rozgałęziały się i wypijały chciwie soki, a łodyżka wyciągała ramiona do góry i wszystkie listki swoje obracała ku słońcu. Czułam, jak z dniem każdym sił mi przybywało, jak rozrastałam się i jak wypiękniałam.

Nie byłam jednak sama: miałam liczne rodzeństwo, a i w sąsiedztwie naszym rosły inne drzewka: brzozy, osina i parę świerków.

Ziemia jest tak dobrą matką dla wszystkich, że rada była każdego przygarnąć i nakarmić.

Ale ja miałam przekonanie, że muszę stanowić wyjątek, — muszę mieć wszystkiego najwięcej. Marzeniem mojem było zostać samą.

I otóż razu jednego powzięłam zbrodniczą myśl wypowiedzieć walkę wszystkim drzewom wokoło. Postanowiłam zagarnąć najlepsze kawałki gruntu, zabrać najpożyteczniejsze soki z ziemi i najczystszej wodę ze strumyków.

Używałam do tego różnych wykrętów, korzy-

stałam ze słabości moich sąsiadek i wszystko obra-
całam na swoją korzyść.

Postanowiłam za jaką bądź cenę być najpięk-
niejszym drzewem. Nieraz spragnione towarzyszki
wyciągały ku mnie swe suche korzenie i błagały
o kropelkę wody.

Ale ja brutalnie odpychałam wszystkich, kto-
kolwiek stał mi na drodze.

Chciwość moja do tego doszła, że i o światło
słoneczne byłam zazdrosna.

Pamiętam... ach, niestety, pamiętam... jak młod-
sze rodzeństwo tuliło się do mnie, wołając:

— Siostró, ulituj się, choć jeden promyk słoń-
ca udziel nam biednym. Patrz!... wynędzniałe stoi-
my tu przy tobie, gdy ty w zbytkach opływasz. Roz-
chyl, siostró, swe gałązki... niech choć raz jeden
słońce zajrzy do nas...

Byłam głucha na te jęki.

Z dniem każdym walka była łatwiejsza, gdyż
siły moich towarzyszek malały i drzewka jedno po
drugim usychały.

Wkrótce zapanowałam na dużym obszarze ziemi.

Nic mi nie stało na przeszkodzie. A do mego
stołu przybyło nowe danie — przegniłe korzenie
i szczątki moich towarzyszek.

Tak ziściły się moje marzenia: byłam piękna,
silna i można.

II

Minęło lat kilkanaście. Pień mój zgrubiał i uniósł się wysoko, a konary rozrosły się i utworzyły dużą, cienistą altanę.

Wszyscy w okolicy podziwiali moją urodę, mój wzrost, kształt mojej korony, barwę liści, zapach kwiatów.

Kto tylko miał czas, stawał przy mnie i podziwiał.

Nawet wrony, dla których nic niema godnego uwagi, nieraz zlatywały się i zachwycały mojemu wdziękami.

— Stanowczo ta lipa jest najpiękniejszym drzewem w naszej okolicy — powiada jedna.

— Dlaczego nie ma być piękną, skoro jest sama; uśmierciła wszystkie drzewa dokoła, więc ma się czem żywić — dodała druga.

— I słusznie — odzywa się trzecia — najlepiej jest temu na świecie, kto tylko o sobie myśli; takie jest moje zdanie.

Ale niedługo byłam szczęśliwa. Z wiekiem przyszło upamiętanie. Obejrzałam się poza siebie i dojrzałam pustki. Byłam zupełnie osamotniona.

Ani jednej siostry, ani jednej towarzyszki nie mam przy sobie. Strach mnie ogarnął.

Całą moją urodę, całą siłę i potęgę oddałabym

teraz za jedno przyjazne spojrzenie. Ale dokoła była pustka.

A nawet te małe krzaki, które stały zdala, pogardzały mną i z oburzeniem odwracały się ode mnie.

Czasem z rozpaczcy w szal wpadałam: obrywałam liście, łamałam gałęzie, nadstawiałam konary i wołałam do piorunów: „Zabijcie mnie!“ Ale szal mijał i ja dalej to ciężkie życie dźwigać musiałam.

I znowu przed oczami memi stawały te biedne drzewka, które tak umierać nie chciały...

Ach, uciec z tego cmentarzyska!

O ileż śmierć jest lepsza od takiego życia! Korzenie jednak tak mocno mnie przykuły do ziemi, a w zdrowym pniu tyle jeszcze życia miałam, że prędko skończyć nie mogłam.

III

Przyszła raz wiosna piękna, słoneczna, promienna; hojnie obdzieliła wszystkich i we mnie siły ożywcze wlała.

Obudziłam się ze snu zimowego i czułam, że inne życie wstępuje we mnie. Nagle zbudziło się we mnie dziwne postanowienie: oddać siebie na użytek innym.

Natychmiast myśl tę w czyn wprowadziłam.
Zaroilo się koło mnie.

Zewsząd ściągnęły do mnie roje owadów: jedne składały jajeczka na moich liściach i korzeniach, inne wypijały z nich soki, a pszczoły i osy całym rojem unosiły się na kwiatkach i miód z nich wybierały.

A ileż to ptaków znalazło schronienie na moich gałęziach!... wilgi, sikory, dzięcioły, szczygły... Tyśiące liszek różnego rodzaju zaczęło obgryzać moje liście, a młode korzonki służyły za pokarm dla pędraków i glist.

Niektóre stworzenia tak się do mnie przywiązały, że nawet zaczęły stroić się w moje barwy i całymi dniami ze mną przebywały.

Pomiędzy nimi był motyl — nastrosz, który miał przednie skrzydełka jasno-zielone, jak moje listki, a tylne miały kolor mego kwiatu.

To był mój ulubieniec. Cały dzień siedział przytulony do mnie i tylko w nocy odlatywał. Miał też dzieci cudnej piękności — liszki w prążki czerwone i żółte z niebieskim rogiem na końcu ciała.

Wykarmiłam je własnymi liśćmi.

I ludzie też garnęli się do mnie. W cieniu moich gałęzi bawiły się dzieci, wypoczywali strudzeni pracą, zbierali się na naradę starzy, tańczyli młodzi... Oddawałam też im chętnie mój kwiat, bo wiedziałam, że leczy ich od zaziębienia. I czułam, że z dniem każdym jestem potrzebniejsza na świecie.

Ale jednocześnie z każdą chwilą byłam coraz brzydsza: liście miałam podziurawione, gałęzie po-

obłamywane lub zeschnięte, pień popękany, jednak to wcale mnie nie martwiło.

Nie miałam czasu myśleć o sobie. Nie uważałam, czy jestem ładna, czy brzydka, czy mi jest ciepło, czy zimno, smutno, czy wesoło. Myśli moje były skierowane ku tym, których karmiłam, chroniłam i przygarniałam.

I w tym znalazłam ukojenie. Jestem dziś stokroć szczęśliwsza, niż nią byłam za czasów mojej młodości.

Teraz, gdy zbliża się już koniec mego żywota, robię rachunek sumienia i widzę, że tych moich czynów jest jeszcze za mało, ażeby odkupić dawne grzechy.

Dlatego do ciebie zwracam się, młody czytelniku!... Posłuchaj, o co cię proszę!...

Dopomóż wielkiej grzesznicy i czego za życia zrobić nie mogłam, ty dopełnij po mojej śmierci.

Drzewo moje zetnij i oddaj stolarzowi, niech porobi stoły, ławki, tablice, szufle; drzewo mam białe i miękkie, więc mu się przydam, nie będzie miał ze mną dużo kłopotu.

Łyko moje niech kto zabierze — będzie miał z niego rogoże, kobiałki, liny, przetaki i wiele innych rzeczy. Cienkie gałązki użyj na opał.

Jak widzisz, oddaję wszystko, com w ciągu życia zebrała.

Powiedz szczerze, czy to wystarczy na złagodzenie win moich? Czy będą mogli ludzie powiedzieć o mnie, że byłam pożyteczną na świecie?...

A ty, czytelniku, co poznałeś moje życie i co masz młode serce, nie potępiaj biednej starej lipy, która coraz niżej i niżej do ziemi się chyli.

L O S Y S T R Z Y Ż Y K A

I

Strzyżyk był ślicznym ptaszkiem: miał puszyste rudawe piórka, małe skrzydełka i krótki ogonek. Był zwinny i zgrabny. Umiał biegać po drzewie i po gałęziach, ale nie miał odwagi odlecieć z gniazdka.

Rodzice już dawno pragnęli tego.

— Boję się — odpowiadał — jeszcze za mały jestem! Później polecę w świat.

Tymczasem młode rodzeństwo opuściło gniazdo, tylko nasz strzyżyk wciąż w niem siedział i co chwila jeść wołał.

Wkońcu starzy musieli się wziąć na sposób: postanowili odlecieć do sąsiedniego lasu i przekonać się, co zrobi strzyżyk, gdy sam pozostanie.

Nazajutrz, gdy młody ptaszek otworzył oczy i dawnym zwyczajem jeść zawołał — nikt się nie odezwał. Czekał jeszcze chwilę, ale nikogo się nie doczekał.

Strach go przejął.

Zerwał się, poleciał przed siebie i spadł na gałązkę sąsiedniego drzewa.

Serce mu biło mocno, skulił się.

— Co ze mną będzie? — myślał.

A wtem słonko przedostało się przez gałęzie i otuchy mu dodało.

Uspokoił się i naraz usłyszał rozmowę ptaszków, które sypiały w pobliżu na drzewie. A były to młode szczygiełki.

Na wiotkich gałązkach kołysały się i gwarzyły między sobą.

— Lećmy! lećmy! — rzecze jeden z nich. — Lećmy na łąkę... tam ciepło! tam pięknie.

— Prawda, że na tej jodle jest za wilgotnie?

— I za ponuro!...

— A któż tam siedzi? Jakies pisklątko skulone... Chore, czy co?

— Co tu robisz, mały? — zapytał naraz jeden ze szczygiełków, przechylając się do strzyżyka.

— Martwię się! — smutnie odpowiada ptaszek.

— A to przyjemne zajęcie obrałeś sobie! Czegoż się martwisz?

— Rodzice mnie opuścili, bracia i siostry w świat polecili, sam zostałem.

— A więc wielkie rzeczy!... Polecili oni, leć i ty za nimi!

— Boję się! — odpowiedział dawnym zwyczajem.

— Boisz się?... A to co znowu?... Nas też rodzice opuścili, a widzisz, latamy sobie, niczego się nie boimy... Przyłącz się do nas!... Będziemy razem... Zobaczysz, nic nam się złego nie stanie!

— Dobrze! — odpowiedział strzyżyk, nabierając odwagi.

I polecieli.

A tymczasem słońko wznosiło się coraz wyżej i wszystko przystroјиło świątecznie: i listki, i kwiatki, i niebo.

Ptaszki unosiły się w powietrzu, nawoływały się, goniły...

Strzyżyk wkrótce ujrzał tutaj swych braci i siostry: przelatywały z jednej gałązki na drugą, krążyły w powietrzu. I zapomniał o swoim zmartwieciu, a nawet był zadowolony, że nareszcie odważył się odlecieć z gniazdka.

— Nie widziałbym tego pięknego świata, tych kwiatów i krzaków, nie miałbym takich wybornych komarów i liszek...

Ku południowi zrobiło się gorąco, strzyżyk uczył pragnienie. Wówczas jeden ptaszek pokazał mu dziobkiem strumyk.

Strzyżyk chciwie pił wodę, a przytem po raz pierwszy zobaczył się w strumyku i spostrzegł, że jest już tak duży jak jego rodzice.

Tymczasem ptaszki, jak ciemne chmurki, unosi-



ły się do góry i opadały nad strumykiem, świegocząc i szczebiocząc.

Naraz spadły i pokryły brzeg strumienia.

A strzyżyk zaczął w wodzie dzióbek maczać, pluśkać się i kąpać, co go tak orzeźwiło, że poczuł w sobie nowe siły.

Gdy wreszcie otrząsnął z wody skrzydełka, zaczął skakać po ziemi i tak zawzięcie uganiać się za komarami, że ani spostrzegł, jak mu się wszyscy dokoła przyglądali.

— Patrzcie, patrzcie, jak nasz nieśmiały przybysz się uwija!... Ach, jakże zabawnie!... Jakże śmieszny z tym zadartym ogonkiem!

A wtem ktoś spostrzegł małą ciemną chmurkę na niebie.

— Może być burza! — zawołał jeden z ptaków.

— Szukajmy schronienia!...

Pofrunęły ptaszki, a strzyżyk wraz z niemi.

Niebawem z obłoków utworzyła się chmura, zakryła słońce i wiatr się zerwał.

Potem duże krople deszczu zaczęły padać. Nagle zaczęło błyskać się i grzmieć.

Na polu i na wierzchołkach drzew wiatr szalał, ulewa łamała gałęzie, ale ptaszki ukryły się tak głęboko w gęstwinie drzew, że ani deszcz, ani wiatr im nie szkodził.

I tylko z ciekawością przyglądały się, jak woda

spadała po gałęziach, a potem, jak krople błyszcząły, niby perły, na lśniących listkach.

Wkońcu burza ustała.

Ptaszki w lesie i na gałązkach zaczęły ćwierkać radośnie.

Było już późno, gdy strzyżyk wrócił do gniazdka.

— Doprawdy, dzisiejsza moja wycieczka była bardzo przyjemna!... — myślał strzyżyk i zasnął.

II

W Z I M I E

Wkrótce strzyżyk został ulubieńcem wszystkich ptasząt w zagajniku. Zawsze wesoły, zwinny, figlarny — umiał żyć ze wszystkimi w zgodzie.

Wolał tylko zawsze trzymać się w pobliżu innych ptaków.

Przyszła zima, a z nią śniegi.

O pokarm było coraz trudniej: muchy, komary poginęły, liszki ukryły się przed zimnem, trzeba było szukać pożywienia gdzie indziej.

Zebrały się więc ptaszki na gałęzi dużej sosny, długo szczebiotały, aż uradziły lecieć w pole.

— Trzymaj się z nami, strzyżyku! Nie wyjdiesz źle na tem...

Ośmielony już do wszystkich wypraw, strzyżyk bez namysłu przyłączył się do gromadki.

Obsiadła ona wkrótce pagórek, gdzie najmniej było śniegu.

W tem miejscu sterczały dwa badyle, wystawiając głowy pełne ziarn.

Szczygły zręcznie wybierały i łuskały ziarna. Ptaki jadły je chciwie.

— Nie są tak smaczne jak muchy, ale nie do pogardzenia — mówił strzyżyk.

Wiedział bowiem, że w zimie nie należy być bardzo wybrednym.

Wędrowki takie na pole odbywały się coraz częściej, czasem nawet ptaki przylatywały do ogrodu. Strzyżyk jednak nie zawsze chciał im towarzyszyć. Wycieczki te były dla jego skrzydełek za męczące. Nie chciał się tylko do tego przyznać.

— Coprawda, nie wiem, poco latać na te badyle? Toć na gałęziach dość mamy pożywienia... Czy jajeczka owadów nie dobrze smakują?... A jak się poszczęści, to i liszkę lub pajęczka jeszcze znaleźć można!...

— Dla ciebie, malcze, to wystarczy — rzecze czyżyk — ale dla nas?... Jajeczka w korze drzewa są dobre, nie przeczę, toć wyjadamy tego niemało, ale my musimy mieć coś posilniejszego.

Nie zawsze zima łaskawa była dla ptaszków: przychodziły nieraz zamiecie, mrozy—wtedy kryły się gdzieś w dziupli, lub w cienistych gałązkach siedziały przytulone do siebie.

Wyglądały słońca, które je ogrzać miało.

W takiej właśnie chwili, gdy mróz ścisnął

wszystko dokoła i cisza panowała w lesie; strzyżyk wlatywał na wierzchołek drzewa i zaczynał śpiewać pięknym, donośnym głosikiem.

Śpiewał do słońca, które umie swemi promieniami ziemię przystroić, śpiewał do wiosny, że wróci niebawem, obudzi ziemię całą i znowu będzie jasno, barwnie i ciepło...

Ptaszki lubiły słuchać tych pieśni — wtedy zapominały o zimnie i nabierały otuchy.

I tak upływały dni, zbliżał się koniec zimy. Powietrze było lżejsze, niebo jaśniejsze.

Ptaszki coraz częściej odzywały się, coraz głośniejsze szczebiotały:

— Wiosna, wiosna idzie!...

W tym czasie posłyszano pewnego razu przeżłiwe wykrzykiwanie makolągwy:

— Ty, niedołęgo, lata, jak z podciętemi skrzydłami! Skacze, jak podkasany! Precz mi stąd!... Karzeł ten, brzydal, tylko ogonem merdać potrafi!... Precz z oczu!... Czegoś się do nas przyczepił, niedołęgo!?!...

Na krzyk ten zleciało się mnóstwo ptaków, a każdy ciekawy, co się stało!

Strzyżyk nie jest z natury bojaźliwy, ale taka gwałtowna napaść zupełnie go oszołomiła, nic nie mógł odpowiedzieć. Piórka najeżył, ogonek jeszcze wyżej nastawił i tylko głową kiwa. Wyglądał tak



pociesznie, że zamiast litości, ptaszki zaczęły się śmiać z niego.

— Dopiero gil wystąpił w obronie biedaka.

— Co się pani makolągwa tak gniewa? Strzyżyk dobry ptaszek, wszyscy go lubią.

Lubicie?... Właśnie dlatego sobie tyle pozwala. Ten nicpoń pająka mi z pod nosa sprzątnął.

— Kłamstwo!... to nie może być!... — odrzekły ptaszki chórem.

— Wytłumacz się!... — zwraca się gil poważnie do strzyżyka.

A biedny ptaszek z przerażenia głową coraz bardziej kiwa, a kiwa, ledwie wreszcie wyjąkał:

— Zjadłem... darujcie... nie wiedziałem, że makolągwa ma własne pająki!...

— Cha! cha! cha!... — śmiały się ptaki. — I my o tem nie wiemy!... Czy to pani makolągwa hoduje tylko pająki? A może i liszki chowa? Zapraszamy się na obiad!... — śmiały się ptaki.

Zniecierpliwiona makolągwa gniewnie odrzekła:

— Nie chcę się zadawać nadal z takim pospółstwem, wolę do ogrodu się przenieść!

I odleciała.

— Szczęśliwej podróży!...—pożegnały ją ptaki.

— Rozchmurz się, strzyżyku, nic cię nie będzie, zawsze cię obronimy! — mówiły ptaszki.

Ale strzyżyk długi czas głową wciąż kiwał, nie mogąc przyjść do siebie.

III

NA GAŁĄZKACH TARNINY

Minęły chłody zimowe.
— Wiosna, z pewnością już wiosna! — wołały ptaszki.

I codzien jeden z nich odlatywał, ażeby poszukać towarzyszki i z nią gniazdo usłać!

Strzyżyk został sam.

Ale już się teraz nie bał niczego. Był odważny i gotów na wszystkie przygody i niewygody.

Wiosna natchnęła go jakąś tajemną mocą.

Nie mógł usiedzieć na miejscu; obleciał zagajnik i zajrzał do swego gniazdka rodzinnego.

Nie poznał go, tak było rozrzucone i zniszczone.

Nagle posłyszał jakiś niezwykły głos, niby płacz, niby jęk jakiegoś ptaszka.

Rozgląda się uważnie — tu jakaś mała ptaszyna ucieka przed kraską. Leci wprost przed siebie, nie zważając na nic.

— Zgubiona — pomyślał strzyżyk. — I co mu zawiniła ta ładna ptaszyna, że ją chce rozszarpać.

Aż zadrżał z oburzenia.

— Czekajno, potworze, teraz ze mną mieć będziesz do czynienia!

I nie czekając dłużej, wpada między kraskę a jej ofiarę.

Pamiętał przestrogi rodziców i wiedział, jakich wybiegów używać potrzeba, żeby wroga w pole wyprowadzić.

Zataczał więc koła, wywijał koziołki, wzlatywał raz wyżej, to znów niżej i tak się kręcił, aż zaciągnął wroga do głębi lasu.

Tu był już bezpieczny. Ukrył się wraz z prześladowanym ptaszkiem w gęstwinie drzewa, a następnie w małej dziupli.

Kraska z niczem musiała odlecieć.

Po chwili ptaszki były przy sobie.

— Jakiś ty pocziwy! — rzekł uratowany ptaszek.—Gdyby nie twoja pomoc, już byłoby po mnie.

— Widziałem, że słaba jesteś, nie umiałaś się bronić.

— Bo ze strachu głowę straciłam. Toć to olbrzymia kraska... Przytem tak znienacka wpadła na mnie, że już o śmierci myślałam...

— Jeśli chcesz, zostań moją towarzyszką, będę cię zawsze bronił przed wrogami... Zamieszkaemy razem...

— Czyżbym mogła znaleźć lepszego towarzy-

sza! — odrzekła nieśmiało ptaszyna. — Chętnie z tobą zostanę...

— Uścielemy sobie zaraz gniazdko w pobliskim zacisznym ustroniu—ręce uszczęśliwiony strzyżyk.

— Dobrze — odpowiada strzyżyczka — właśnie myślałam o gniazdku.

— Trr... tr-tr... — zaczął strzyżyk cienkim głosikiem, a śpiewał tak dźwięcznie, jakby flet rozbrzmiewał; śpiewał i sam się dziwił, skąd mu takie czarowne dźwięki dziś z gardziółka płyną.

Chciał wyśpiewać całą radość, całe szczęście swoje: już nie będzie sam na świecie, będzie miał miłą towarzyszkę, swoje gniazdko... swoją rodzinę...

— Jeszczem nigdy takich pięknych pieśni nie słyszała—powiada ptaszek. — Będziesz musiał często mi śpiewać...

— Ile razy zechcesz!... — odrzekł dumny z siebie strzyżyk.

— Ależ przecie całe życie nie możemy tylko śpiewać, trzeba o gniazdku pomyśleć, nieprawdaż?

— Prawda... A więc lećmy szukać zacisznego ustronia.

I ptaszki skrzętnie szukać zaczęły.

Gdzie nie były!...

W szczelinach pni starych, w korzeniach drzew wywróconych, w żywopłotach, tamach, w krzewach bluszczu, pnącego się po drzewach, pod słomianymi strzechami, wśród leżących zeschniętych liści, wszę-

dzie jednak coś znalazły złego: tam miejsce za widoczne, tam gałęzie za cienkie, tam znowu wilgoci za dużo.

Już zaczęły razu pewnego budować gniazdko w dziupli starego dębu, już miały prawie wykończone gniazdko i musiały opuścić, gdyż przekonały się, że wiewiórki często odwiedzają to drzewo.

I znowu na nowo trzeba było szukać dni kilka.

Aż nareszcie upatrzyli sobie gałąź gęstego krzaku tarniny.

Miejsce to było zabezpieczone od wiatru i od deszczu, a miało śliczny widok na pole i pobliski strumień.

Teraz dopiero rozpoczęła się praca.

Z pierwszym promieniem słońca budziły się ptaszki i zaraz leciały szukać materiału na gniazdko.

A była tego wielka różnorodność: korzonki, trawki różnego rodzaju, mchy, suche liście, włosy, pierze, wszystko było zużytkowane.

Drobne ptaszki umiały tak zręcznie i tak misternie poszczepiać cały ten materiał, że każdy się zadziwił. A narzędzia miały bardzo proste: pazurki, dzióbek i skrzydełka.

Przy końcu tygodnia gniazdko było gotowe: miało kształt gruszki z otworem z boku.

— Skończyliśmy! — rzecze strzyżyk. — Wypoczniesz teraz, moja droga, boć przecie znacznie pilniej ode mnie pracowałaś.

— Ależ, cóż znowu? Czyś ty, mój kochany, próżnował? Czyś mi nie uprzyjemniał czasu swym cudnym śpiewem?... Tylko nie sądz, że robota koło gniazdka jest skończona.

Musimy jeszcze zbadać, czy dobrze jest przed oczyma wrogów ukryte. Usiądź-no na tej sośnie i przekonaj się, czy nie widać go stamtąd... Ja znowu z innej strony się przyjrzę...

Po chwili ptaszki były zpowrotem.

— Zdaje mi się — rzecze strzyżyk — że doskonale ukryliśmy się...

— To się mylisz, bo gniazdko można łatwo zobaczyć z tamtej strony... Poszukaj suchych paproci i gniazdko niemi zasłonimy.

Ale nie same strzyżyki były tak pracą około gniazd zajęte. Wszędzie praca wrzała: w gęstwinie leśnej, w trawach—wszędzie brzmiał śpiew, wszystko, co żyło, cieszyło się życiem i jakimś szczęściem.

Każdy ptaszek krzątał się koło swego gniazdka, każdy myślał tylko o tem, ażeby jego dzieci miały czyste i wygodne schronienie.

Razu pewnego, gdy strzyżyk wracał do gniazdka i miał w dzióbku źdźbło słomy, spostrzegł swą towarzyszkę siedzącą na gałązce drzewa i jakoś dziwnie wesołą.

— Czego się tak cieszysz? — zapytuje.

-- Spójrz na gniazdko! — odrzecz.

Strzyżyk zajrzał i zobaczył na dnie białe jajeczko.

Patrzył i napatrzeć się nie mógł — takie mu się piękne wydało. Przykrył je zaraz, otulił starannie, żeby mu ciepło było.

Po tygodniu jajeczek takich było już pięć w gniazdku.

— Teraz, mój drogi, będę musiała siedzieć w gniazdku przez parę tygodni, a ty przez ten czas musisz mnie żywić... Musisz stać na straży, żeby jaki wróg nie złakomił się na nasze jajeczka.

Ale strzyżyk nie bał się nowych obowiązków; czuł w sobie wiele siły, wiele męstwa, pewien był, że wszystkiemu podda.

I nie zawiódł się.

Od rana przynosił swej przyjaciółce najdelikatniejsze owady, najsmaczniejsze liszki, śpiewał jej najpiękniejsze piosenki, opowiadał, co się dzieje dookoła, jakie wypadki wydarzyły się w lesie. A gdy coś zaszeleściło w krzaku, zrywał się, oblatywał wszystkie gałązki, to znowu zatrzymywał się, nasłuchiwał, skrzydełka i ogonek podnosił do góry i gotów był walczyć z najgroźniejszym nieprzyjacielem.

— Oczy wydziobałbym wiewiórcę!... Nawet kunię, gdyby chciała do mego gniazdku, do moich skarbów się zakraść, takbym poczęstował, że długoby to pamiętała.

Od czasu do czasu strzyżyczka zmęczona siedzeniem wstawiała, żeby nóżki wyprostować lub pragnienie ugasić; strzyżyk zastępował ją wtedy i siedział w gnieździe.

Jedno tylko ptaszki miały zmartwienie, a było nim zanadto hałaśliwe sąsiedztwo.

W dziupli sąsiedniego drzewa mieszkały sikory.

Były one tak krzykliwe, kłótlive i niespokojne, że sąsiedztwo z nimi stawało się nieraz nie do zniesienia.

Tego skubną, tego potrąca, temu lizkę z pod dzióbka porwą, słowem, umiały wszystkim dokuczyć.

— Co to będzie, gdy dzieci przyjdą na świat?... Nawet pomyśleć o tem nie chcę?... Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, nie obralibyśmy sobie tego krzaku na gniazdko...

Lepiej byłoby zostać wśród korzeni pnia wywróconego...

IV

NIESZCZĘSCIE

Niepostrzeżenie minęło parę tygodni. Gwarno obecnie w gniazdku strzyżyków. Pięć dzióbków otwartych co chwila woła: „Jeść!... jeść!...“

Rodzice pokolei przynoszą im muszki, komary, karmią nimi młode, tułą je do siebie, grzeją nagie ich ciała.

Dzieci rosły prędko, ale i apetyt ich z każdym dniem wzrastał.

Ojciec nie mógł sam nastarczyć znosić żywności; matka ciągle musiała szukać po lesie muszek, pajaków i drobnych liszek, aby małe głodu nie znalazły.

Nieraz ptaszki upadały ze zmęczenia, ale odpoczywać czasu nie miały.

Pewnego dnia deszcz padał od rana. Strzyżyki przez długi czas nic nie mogły znaleźć ani upolować.

— Trzeba zajrzeć do gniazdka, dzieci zostały

same; trzeba zobaczyć, co się tam dzieje — myśli strzyżyk. — O nieszczęście nietrudno.

Przecucie nie zawiodło ptaszka.

Już zdaleka posłyszał niespokojny pisk dzieci.

— Co się tam dzieje?... Zwykle małe siedzą tak spokojnie, ani pisną... Co się tam stało?...

Serce strzyżykowi mocniej zabiło. Wpada do gniazda, patrzy... Okropny widok przeraża go. Jedno pisklątko leży nieżywe... Jakiś zbójca łebek mu rozbił.

Pierwszy raz strzyżyk zrozumiał, co to jest ból i rozpacz.

Zdawało mu się, że tej straty nie przeżyje.

Wkrótce matka nadleciała. Padła jak nieżywa na gniazdko, objęła skrzydełkami nieżywe piskłę i głośno jęczała z rozpacz.

Ale pozostała gromadka coraz głośniej wołała: „Jeść!... jeść!...”

Trzeba więc pogodzić się z losem i myśleć o wyżywieniu dzieci.

Od tego czasu strzyżyki zaczęły pielegnować pisklęta z podwójną troskliwością. Co chwila przylatywały, ażeby sprawdzić, czy które dziecko nie woła, czy gniazdko dobrze ukryte, czy jaki wróg nie zakrada się do nich.

— Odpocznij choć chwilę — mówił strzyżyk do swej towarzyszki — toć nic w ustach dziś jeszcze nie miałaś... O dzieciach tylko myślisz...

— Co tam, że się trochę przegłodzę! Wkrótce maleństwa fruwać zaczną, wtedy sobie odpoczniemy. Mój Boże, jaka to będzie szczęśliwa chwila, kiedy piskłeta nasze po raz pierwszy wyfruną z gniazdka.

Nie doczekała jednak tego ta dobra matka.

Pewnego wieczoru, gdy szukała we mchu owadów, nagle coś ją silnie szarpnęło za nóżkę.

— O jej, coś mnie ciągnie! — krzyknęła przeraźliwie.

Strzyżyk był niedaleko, nadleciał zaraz, dzióbkiem usiłuje ptaszka wyswobodzić, ale napróżno. Patrzy, a tu nóżka została wplątana w sidła, zastawione na ptaki.

— Ratuj, strzyżyku! Patrz, mam nogę do krwi przetartą!...

Ale wszelkie usiłowania, aby się z sideł uwolnić, były nadaremne.

Teraz zrozumiały ptaszki całą zgrozę nieszczęścia.

— Co zrobimy, moja ty biedna, moja droga?...

Wtem pędem przybiegło kilku chłopców i pełni radości i śmiechu zabrali sidła razem z ptaszkiem.

— Nie zabierajcie jej! — zawołał przenikliwie strzyżyk. — Ona wam niczem nie zawiniła... Ona ma dzieci w gniazdku!... Weźcie mnie, jeśli wam o to chodzi; patrzcie, sam się oddaję... ale ją puście!... Puście, błagam was!... Dzieci ją tak kochają...



Ale chłopcy na słowa jego nie zważali; każdy pokolei brał do rąk siłła i cieszył się, patrząc, jak ptaszek skacze, trzepocząc skrzydełkami.

— O ludzie, jacyście okrutni!...—narzekał zrozpaczony strzyżyk.

— Wracaj, strzyżyku! — rzecze doń smutnie nieszczęsna matka. — Wracaj!... kochaj nasze małeństwa, jak ja je kochałam.

Opiekuj się, pielęgnuj i miej siły za nas oboje. Idź!... myśli moje będą zawsze przy was! Idź, powiedz dzieciom, jak je kocham... Idź, nie patrz już więcej na mnie.... na moją męczarnię...

Dalej już strzyżyk nic więcej słyszeć nie mógł, bo chłopcy szybko pobiegli, a ptaszek nie miał siły lecieć dalej. Gdzie nieszczęsną ponieśli — nie wiedział.

Upadł na trawę i zdawało mu się, że życie z rozpaczy zakończy.

Ale wkrótce przypomniał sobie słowa swej towarzyski, zebrał siły i poleciał do dzieci.

Przytulił je do siebie zziębnięte, spłakane i okrył skrzydełkami, jak to czyniła ich matka.

V

PRZEBACZENIE

Odtąd strzyżyk miał zdwojoną pracę: spał za ledwie parę godzin na dobę; nie znał co to wypoczynek, co zabawa. Nikt nie słyszał w lesie jego śpiewu.

Myśl jego była ciągle zwrócona ku tej biednej ptaszynie, która gdzieś wśród ludzi siedzi uwięziona.

— Czy żyje tylko?... czy żyje?... — zapytywał sam siebie.

W sąsiedztwie zato było coraz gwarniej.

Sikorki miały dziewięcioro dzieci, które już z dziupli powyłaziły, a były takie krzykliwe, takie przykre w pożyciu, że zdawały się przewyższać w tem swych rodziców.

Pewnego dnia jakiś dziwny niepokój panował w rodzinie sikor. Kłóciły się od wczesnego ranka, wreszcie rozpoczęła się bijatyka. Sikory wrywały sobie piórka, dziobały jedna drugą, szczypały złośliwie.

Strzyżyk zaciekawiony wyleciał z gniazdka, usiadł na najwyższej gałęzi i przygląda się ciekawym, jak to się skończy.

A skończyło się bardzo źle, bo jedna z małych sikor spadła na ziemię.

Wtedy dopiero sikorki się uspokoiły, ale żadna z nich nie pośpieszyła z pomocą ptaszкови, leżącemu na ziemi.

Oburzyło to strzyżyka. Nie namyślając się więc długo, zbliżył się do sikorki.

Ta gniewnie spojrzała na niego i napuszyła piórka.

— Cóż to — rzekła — przyszedłeś znęcać się, a może zabić mnie?... Chcesz skorzystać z mego kactwa i zemścić się?...

— Mylisz się, sikorko, nie przychodzę tu, żeby cię krzywdzić. Widzę, że cierpisz i leżysz sama, chcę ci więc dopomóc. Tu nie możesz pozostać. Drapieżnik jaki może cię porwać, a i z głodu mogłabyś umrzeć. Postaraj się dowlec pod ten krzak, tu gdzie moje gniazdko, a zaopiekuję się tobą...

— Nie mogę!... — odrzekła sikora słabym głosem.

— Czekaj, to ci wody przyniosę!

Wkrótce strzyżyk przyniósł w dzióbku listek, na którym leżały dwie duże krople rosy.

— Wypij, to cię orzeźwi!

Sikorka smutnymi oczkami spojrzała na strzyży-



5

ka, z trudnością przechyliła główkę i wypila chciwie wodę.

— Prawdę mówiłeś... lepiej mi teraz... Spróbuję zbliżyć się do twojego krzaka.

I wolno, pomagając sobie skrzydełkami, dowlokła się do krzaka.

Dwa dni leżała jak nieżywa: nie jadła, nie piła.

Trzeciego dnia otworzyła oczki, rozejrzała się dokoła i zjadła muszkę, którą strzyżyk przyniósł, potem liszkę.

I odtąd strzyżyk miał jeszcze jeden dzióbek do karmienia.

— Strzyżyku—rzecze pewnego razu sikorka— czy ty wiesz, kogoś przygarnął?... Zbrodniarza! Wroga! To ja ci dziecko zabiłam i to nie z głodu, nie z potrzeby, tylko ze zbytków!... Ot, chciało mi się spróbować mózgu ptasiego!... A ty mnie za to wszystko pielęgnujesz, przygarniasz, od głodowej śmierci uratowałeś!... Nikt z moich nie zajrzał nawet do mnie...

— Moja sikorko—odrzekł smutnie strzyżyk — tyle sam przecierpiałem, że rozumiem cierpienia innych... W nieszczęściu każdy jest mi bratem.

— Słyszałam o twojem nieszczęściu, pozwól, niech zaopiekuję się twymi dziećmi, kiedy matki nie mają. Będę im żywność przynosiła, wydostanę z pod kory jajeczka owadów, naznoszę im liszek delikat-

nych. O, jestem pewną, że będzie to im smakowało, Tylko niech mi siły wróca.

— Kwi! kwi! — doleciało do uszu strzyżyka.

— Co? To głos moich dzieci!

I strzyżyk poleciał do gniazdka.

Ale jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał, że wszystkie siedziały na gałązce krzaka pobliskiego.

— Co się dzieje, malcy? Kto was nauczył łązić po drzewie?

— My same! — odpowiadają pisklęta.—Chciałyśmy zrobić ojcu miłą niespodziankę. Najpierw wyszedł najstarszy braciszek, przyglądał się innym ptaszkom i zaczął naśladować. A gdy mu się to udało, zaczął nas zachęcać. Wkrótce wszyscyśmy po gałązkach biegać zaczęli.

— No! no! któżby się tego po was spodziewał— rzekł strzyżyk, patrząc na swe pisklętka.—Głodne jesteście zapewne: nie dostałyście jeszcze śniadania...

— Bynajmniej! Każdy z nas sam sobie śniadanie znalazł.

— Tak! tak!... — powiedział najmłodszy ze strzyżyków — muszki były wyborne. Złapałem kilka; goniły jedna drugą i nie spostrzegły, że wprost mi w dzióbek wleciały.

— Ja tam much nie jadłem, ale zato uraczyłem się dużą lizką zieloną. Z początku bałem jej się trochę, ale spróbowałem, smakowała mi wyśmienicie!

— A ja znalazłem listek, na którym roiło się od małych larw; na cały dzień jestem syty.

— Widzę, moje dzieci, że wkrótce same sobie na świecie radę dacie.

I tak się też stało.

Po tygodniu młode strzyżyki tak się wprawiły w bieganie po gałązkach, przeskakiwanie z jednej na drugą, że w niczem nie ustępowały starszym.

Tylko we fruwaniu nie były mocne. Umiały przelecieć przez polankę, ale trzepotały przytem silnie krótkimi skrzydełkami i prędko się męczyły.

Pewnego poranku ptaszki zgromadziły się przy ojcu.

— Ojczulku drogi — rzekną — przyszliśmy cię pożegnać; każdy z nas inne obierze mieszkanie: nad rzeką, w ogrodzie, w zagajniku, gdzie się komu spodobą; tu jest nam już za ciasno.

— Dobrze, moje dzieci — odpowie smutnie strzyżyk — lećcie, gdzie wam się podoba, bo szczęście wasze od was samych zależy. Nie będę, wedle zwyczaju, prawił wam przy pożegnaniu nauk i moralów. Najczęściej się zdarza, że rodzice mówią jedno, a dzieci robią drugie.

Chcę wam tylko dać tę radę: szukajcie piękna, gdzie tylko będziecie, umiejcie kochać dobro i śpieszcie z pomocą, gdy was kto będzie potrzebował.

To wam zapewni spokój w życiu... a może i szczęście...

I czule pożegnane przez ojca, młode strzyżyki odleciały w głąb lasu.

VI
P O W R Ó T

Młode ptaszki zapełniły teraz las, gaje, wody, łąki.

Wszystkie rozkoszowały się życiem, swobodą.

Rodzice ptaszków krzatali się koło naprawiania gniazd i myśleli o drugim pokoleniu.

Tylko nasz strzyżyk siedzi na olszynie, siedzi dni całe, skulony, z najeżonemi piórkami.

— Ile to szczęśliwych istot na świecie!—myśli sobie. — Nie mam do nich żalu! Niech im dobrze będzie! Niech ich nie dotknie żadne nieszczęście!

I ja kiedyś miałem swoje gniazdko, swoją towarzyszkę, dzieci... I ja byłem szczęśliwy, a dziś, co zostało? Pustka!...

Przez ten krótki czas strzyżyk zmienił się do niepoznania: sposepniał, zestarzał, jakby mu kilka lat przybyło.

Tęsknota coraz bardziej przygniatała biednego ptaszka.

— Ten piękny świat nie nęci mnie już wcale. Wszystkie myśli moje są przy tej, która siedzi tam... gdzieś... w więzieniu!

I poleciał ptaszek na krzak tarniny i usiadł przy swem dawnym gniazdku.

— Tu spędziłem najlepsze dni życia mojego, stąd patrzyliśmy na te piękne pola! Z tego miejsca zachwycała się ona tym strumykiem!... Tu pozosta-



nę, nim oczy moje nie zgasną, serce bić nie przestanie...

— Czyk-czyk-czyk!... — rozległ się jakiś słaby głosik.

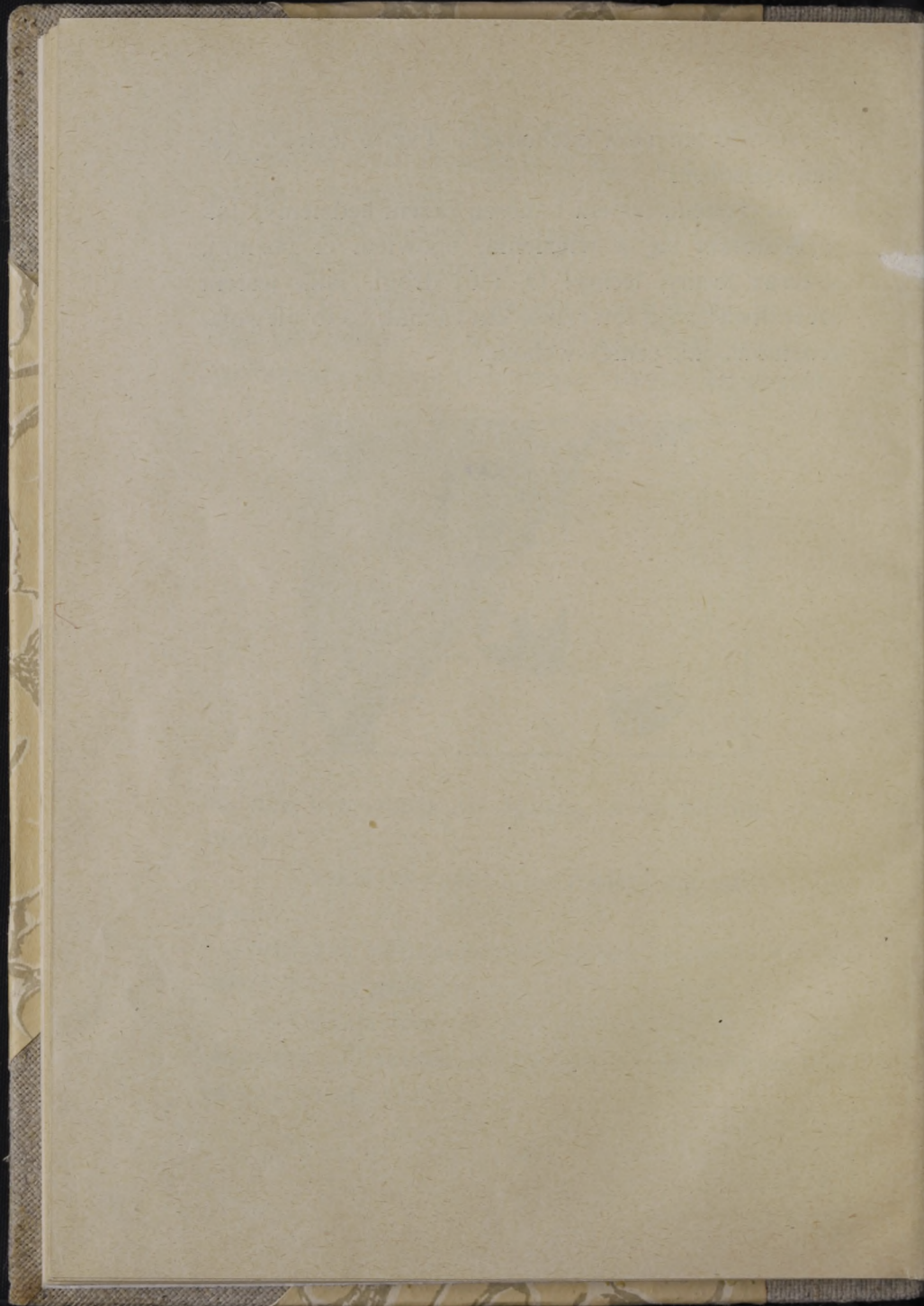
Strzyżyk zadrzał naraz z radości. Czyżby mu się śniło? To jej głos słyszy...

— Odnalazłam cię... jesteś tu... przy naszym gniazdku... O jakżem szczęśliwa! — słyszy głos porwanej towarzyszki.

— Od zmysłów odchodzę!... Tyż to jesteś?... Jakim sposobem?...

— Jestem, jestem i znowu razem będziemy! Jak wyostałam się z więzienia, opowiem ci później, a teraz lećmy, lećmy! O, mój drogi, jaka jestem szczęśliwa!... Bo ten tylko, kto zaznał, co to niewola, zrozumie, jak cenić swobodę.





SPIS RZECZY

| | |
|---|-----|
| Dwie przyjaciółki. I. | 5 |
| II. Zawiedzione nadzieje | 7 |
| III. Uczta Perelki. | 11 |
| IV. Smutne przygody myszek | 14 |
| Z życia raka | 19 |
| Przygody młodego borsusa I. | 26 |
| II. Pożegnanie | 32 |
| III. Łakomstwo ukarane | 36 |
| Janek-Przybłęda | 41 |
| Zmysłny Kwiczus | 51 |
| Na listku jaśminu | 59 |
| W lisiej jamie. I. | 68 |
| II. W niewoli. | 73 |
| III. Ocalony | 77 |
| Pamiętnik kotki. I. | 80 |
| II. Mój pierwszy dzień u obcych | 84 |
| III. Mój drugi dzień i pierwsza znajomość | 87 |
| IV. Mój trzeci dzień. Czuję nowe siły | 89 |
| V. Mój czwarty dzień. Wyprawa do lasu | 92 |
| Opowieść starej lipy | 94 |
| Losy strzyżyka. I. | 102 |
| II. W zimie | 108 |
| III. Na gałązkach tarniny | 113 |
| IV. Nieszczęście | 120 |
| V. Przebaczenie | 125 |
| VI. Powrót | 131 |

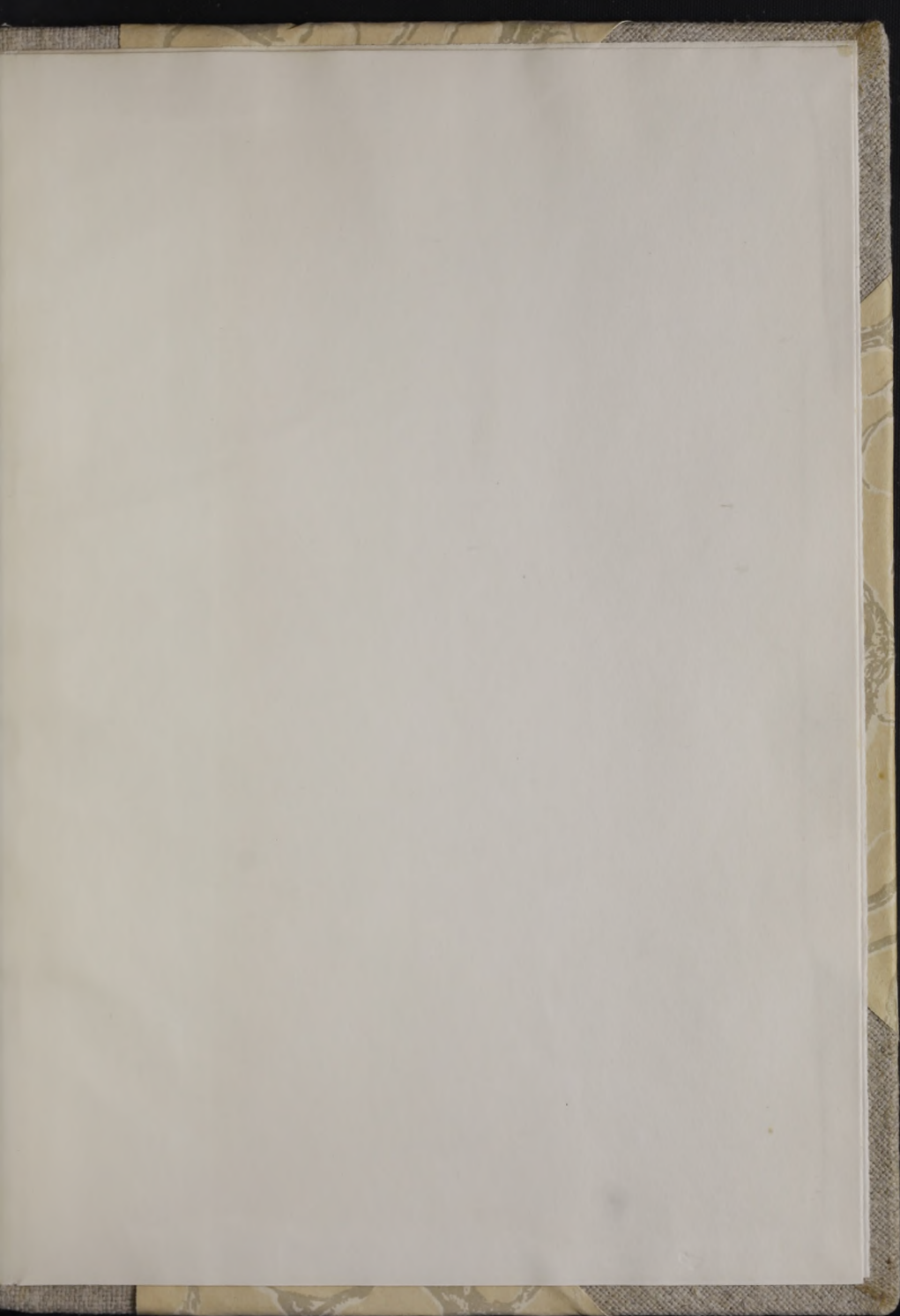
135

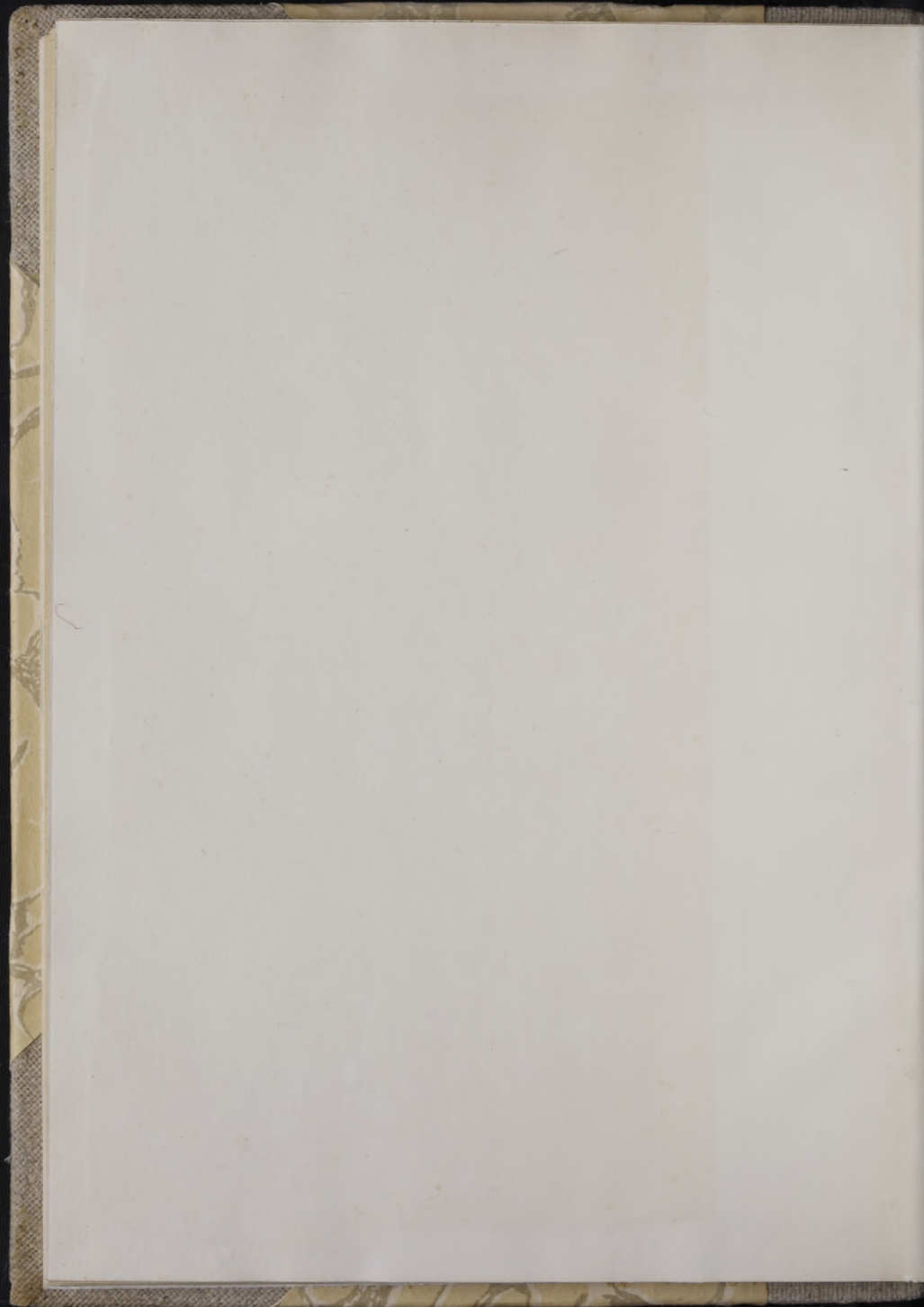
Antykw. Nauk

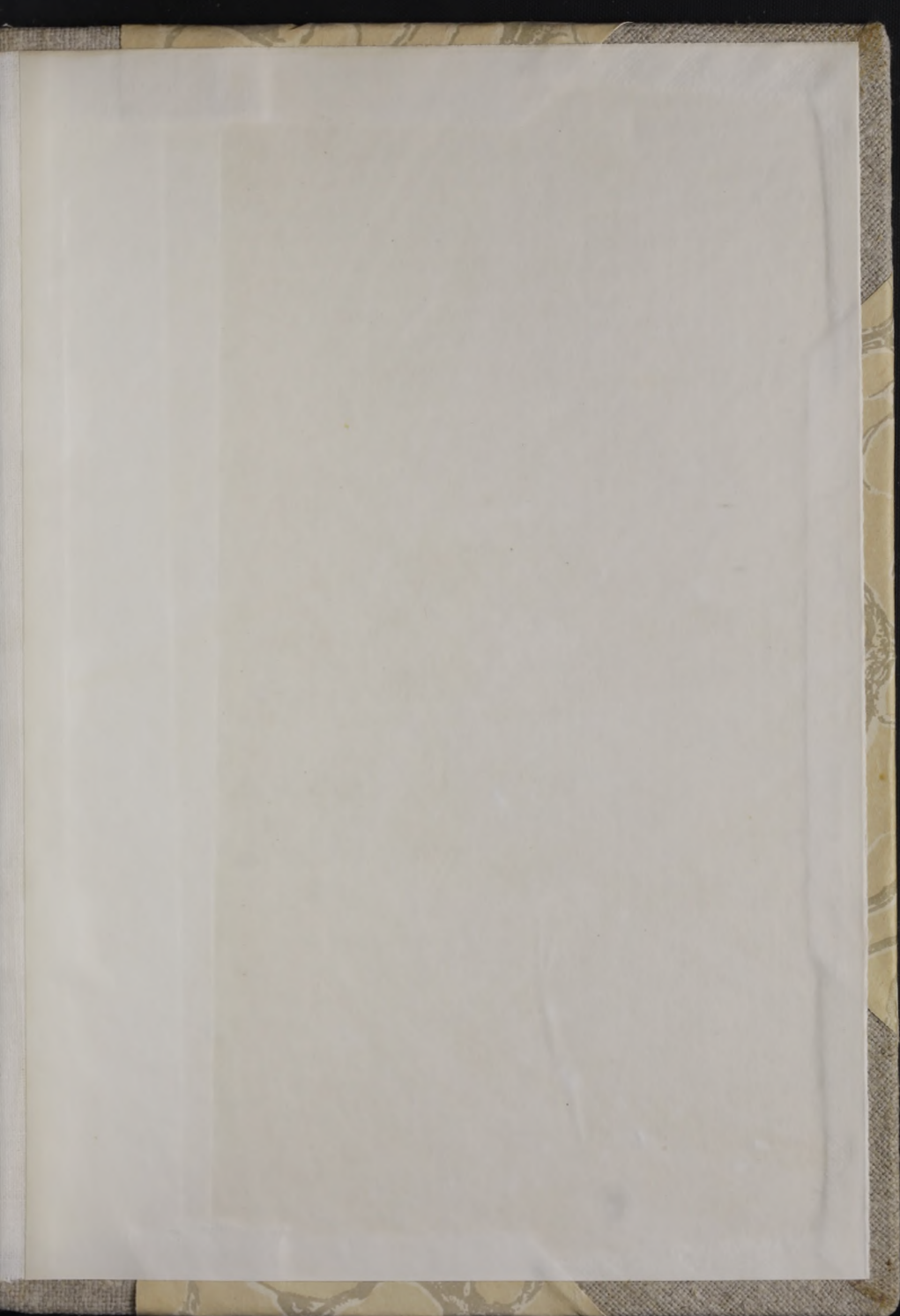
W-va 27. 08. 82 r.

- 120 zł

BP









1401460

BN

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020458957